

51.465.115

# Moje Koraliki

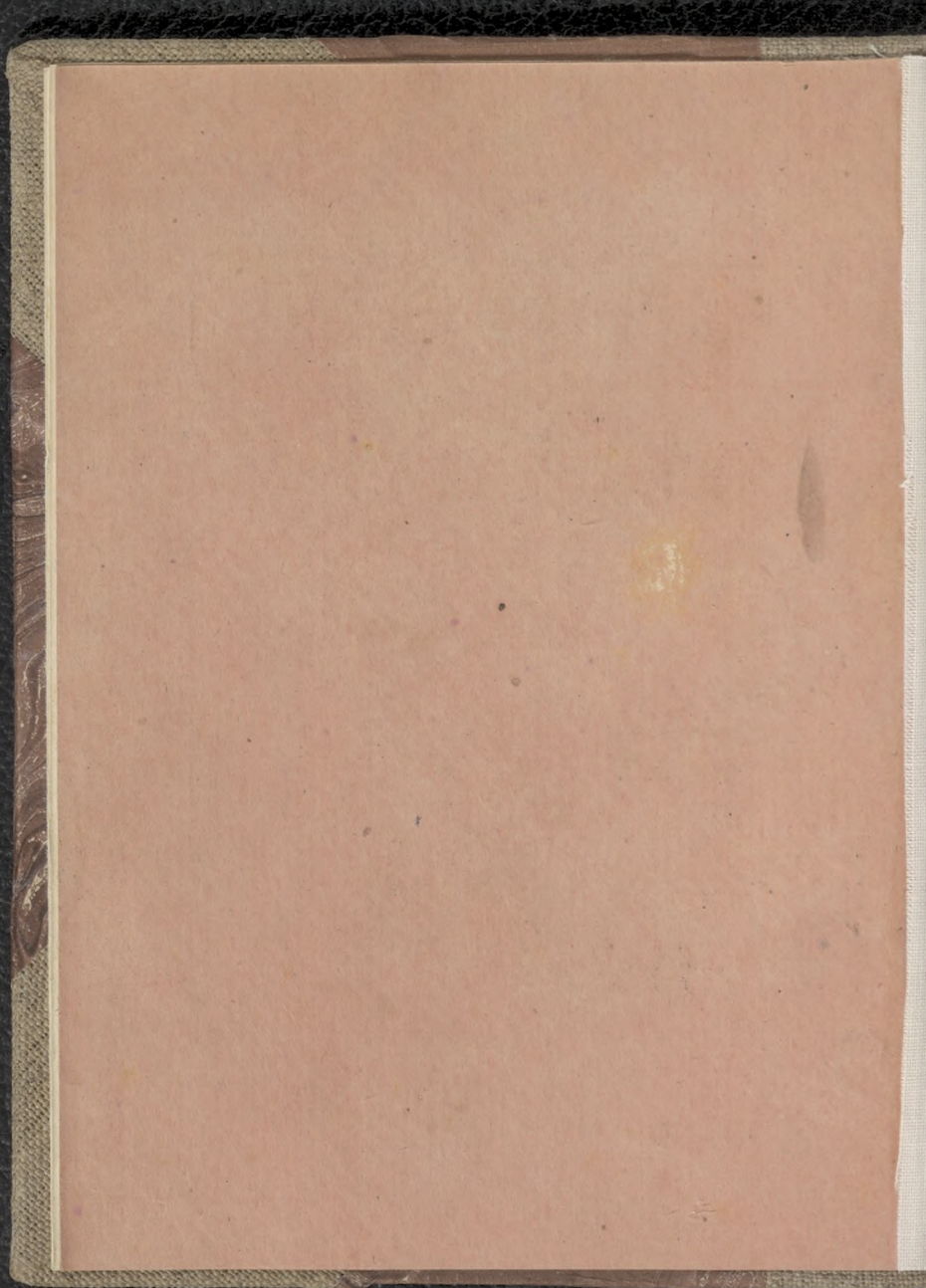
## Powiaстки

Dla Dzieci Polskich w Ameryce

*Napisała Helena Staś.*



WYDANE 1921 ROKU.



# Moje Koraliki

## POWIASTKI

*Dla Dzieci Polskich w Am.*

*Napisała Helena Staś.*



WYDANE 1921 ROKU.



T. 1.465.115



1385 K/495/82



Dzieciom polskim w Ameryce—  
tych kilka powiastek—poświęca

*Autorka.*



HELENA STAŚ.



## Wstęp.

Nadeszła nareszcie oczekiwana z dawna przemennie chwila, w której serce i myśl są w stanie rzucić wiązanekę prostych uczuć — niby wieniec polnych kwiatów — w postaci dziecinnych powiastek.

Niegdyś, jedynem moim marzeniem było, pisywać bajki dla dzieci; jednakże z przyczyn niezależnych odemnie, musiałam na niejakiś czas wyrzec się tego marzenia, ale na niejakiś czas tylko, bo z marzeniem tem, związane jest najpierwsze, najdroższe wspomnienie dzieciństwa, — wspomnienie, w które gdy patrzę, widzę w nim jasno zakreślenie tego co później nastąpiło, więc ani zapomnieć, ani zaniedbać go mogę.

Cieszę się prawdziwie, że nareszcie przeleję na papier kilkanaście powiastek dla tutejszej dżiatwy na tle polsko-amerykańskim, dając jednak, pierwsze miejsce tej, która jest najdalszem wspomnieniem ubiegłego dzieciństwa na ojczyściej ziemi. Nie jest ona wymyślona bajką, ale najprawdziwszym zdarzeniem wyniesionem z szarych wspomnień igrającego u stóp matki dziecięcia. — Jest ona “perłą”

dla mnie wydobytą z głębin ducha. — Nie ta atoli przyczyna składa się na to, że ten pierwszy twór “Moich Koralików” nazwałam “Perłą”.

Przeczytajcie drogie dzieciaczki z uwagą tę moją “Perłę”, a dowiecie się jak to czasem już w dzieciństwie Opatrzność naznacza nam drogi.

Przeczytajcie z uwagą proszę: Nic tam nie ma świetnego w tem moim dzieciństwie, takie ono szare i mgliste, jak szarą i mglistą jest młodość wielu z was. Ale jest w nim świecące słońcem wspomnienie matki, której mi później całe życie brakło.

W dalszym ciągu dam wam wesołe powiastki, zdjęte żywo z waszego tu tła; tylko tę pierwszą, poświęcam droгим wspomnieniom mego dzieciństwa. Z niej też dowiecie się dla czego tym powiastkom dałam nazwę “Moje Koraliki.”

Pisane w Chicago, 1910 roku.

*Helena Stas.*



## PERŁA.



Ani gór, ani lasów, ani wód przezrocza, ani pięknych kamienic, ani brukowanych ulic, ani nawet polnych dróg wysadzonych drzewami—w najpierwszych mych wspomnieniach nie widzę. Ot nędzota żydowskiego miasteczka, na Kujawach położonego na pruskiej granicy.

Nędzne domostwa z kramikami stają w mej pamięci, środkiem których, ciągnie się droga pełna wyboi. Może tam i dalej był gdzie brukowany rynek, ale wówczas, ani stopa, ani myśl moja tam nie zabłąkały. — Ówczesna moja wiedza obejmowała niski domek otoczony murawą z rozłożystą gruszą z jednej strony, a piaszczystą drogą z drugiej strony. Do obszaru tej wiedzy, wpadały jeszcze wysokie mury stojącego opodal kościoła i głos dzwonów, który radosnem bum — bum — i, dyńdy — leń — dyń — witałam.

Nie ma piękna poezyi, w które bym mogła ubrać dziecięce wspomnienie, a jednak jest jedno-

droższe nad wszystko ziemi piękno — jest wspomnienie — MATKI.

Widzę ją siedzącą na drewnianym krześle pod gruszą, zawsze z robótką w ręku i zawsze na ustach z pieśnią. Dalej na murawie gromadka starszych odemnie dzieci wesoło się bawiących.

Musiało to być pierwsze lato, w którym dozwolono mi rozporządzać swą osobą samodzielnie, a mianowicie ponosić winę za szturchańce odebrane w rozpędzie gry starszych dzieci, skutkiem czego, tamte skarżyły przed matką na Helę, że im zawadza, a Hela skarżyła na tamtych, że ją krzywdzą. Aż wreszcie niechcąc znosić niezasłużonych szturchańców, lub też w braku sił na ich odparcie, usunęłam się od rodzeństwa, bawiąc się stale pod gruszą u stóp matki koralikami, których prześliczny zbiór mieścił się w drewnianym pudełeczku, a z którymi to, nigdy się nie rozstawałam; z nimi w ręku zasypiałam, a budząc się ich pierwszych żądałam. — Kiedy weszłam w posiadanie tej kolekcji nie pamiętam. Prawdopodobnie był to zbiór od samego niemowlęctwa. Nie inaczej pewno było, jeno zabierano mi lepsze zabawki, dając na pocieszenie koraliki, do których jako wyłącznej własności, przywiązałam się nad wszystko. Była przecież i lalka z wyszytymi czarną wełną oczyma i nosem, były zabawki nawet z zagranicy, nawet takie co grały i piszczały różnemi głosy, ale te albo ule-

gały wkrótce zupełnej zagładzie zaborczych dłoni starszych braci, albo też wydzierano mi je bez ceremonii. — Oprócz więc miłych koralików, których nagromadziło się mnóstwo nie było zresztą do czego się przywiązać.

Pierwszego zatem lata, w którym zaznacza się moja samodzielność, odtrącona od starszego towarzystwa, siadałam pod gruszą, rozkładałam czardziejskie koraliki i niby w świat czarowny w nie patrzyłam. A jakie to promienie w słońcu z nich były! jakie kolory w świetle się uwidoczniły! A co one to przedstawiały? Naprzykład ten wielki biały, nazywany przez wszystkich perłą, a najwięcej przezemnie upodobany, nazwałam matką, reszcie, dałam nazwy wszystkiego tego, co mnie otaczało.

Takie rozpoczynają się w mglistej mej pamięci pierwsze na zewnątrz dziecięcego świata — dni.

Naraz, uwagę moją zajmuje zagładająca co chwilę z za sąsiedniego plotu brudna, obdarta dziewczynka. Może była trochę starszą odemnie, a może i nie. Jest ona wstrętnie brzydką. Sukienka na niej połatana i potargana. Twarz cała pokryta piegami, oczy zbolale — czerwone, — na głowie rude kołtuny.

Naturalnie zmysł mój spostrzegawczy nie był jeszcze tak wyrobionym, abym od razu zauważyć mogła ujemne strony biedactwa, mnie zajęła jedynie równa mi wzrostem istotka. Odkąd ją spostrze-

głam całe godziny wpatrywałam się w nią — a ona we mnie.

Matka moja musiała zauważyć tę niemą rozmowę dwóch samotnych dziewczynek i zrozumieć ich chęć, bo pewnego dnia chcąc nam widocznie ułatwić wzajemne poznanie zawołała:

— Hanka, chodź się bawić z Helą, a bądź grzeczną!

Do mnie zaś:

— Bądź dobrą dla Hanki, bo ona biedna cały dzień bez matki, jej matka pracuje w polu.

Nie wiedziałam co to znaczy pracować w polu, ale rozumiałam okropność słów “cały dzień bez matki”, i rzeczywiście byłam dla Hanki dobrą. Odkryłam przed nią cały mój świat — moje koraliki. Mogła się nimi bawić dowolnie ile tylko chciała.

Hanka, pozostawiona całe dni sama sobie, widocznie wybiegała dalej i nóżkami i myślą odemnie. Samodzielność i swoboda wyrobiły w niej szerszy światopogląd; — знаła ona domy i ich położenie nawet z drugiej strony kościoła. Podziwiałam w duchu jej wiedzę, a po trochu przejmowałam się nią.

Dozwoiliłam Hance nazwać perłę — matkę — Kościołem, czego się napierała, a inne koraliki to domem, to drzewem. Jeżeli znalazł się natłuczony, to zapewne oznaczał ten dom, któremu brakowało



kawał dachu. Coraz to większy świat tworzyliśmy z naszych koralików: były wśród nich i zwierzęta i kwiaty i ciastka i cukierki i imitacje nas samych. Ciągłe wynalazki i pomysły radowały nas wielce i czyniły coraz śmielszemi, coraz samodzielniejszemi. Rozzuchwalone, przenosiłyśmy się z zabawą z miejsca na miejsce.

Pewnego razu, uświadomiona Hanka zarzuciła mi, że nie wiem co to jest bawić się w piasek. Nie przeczuwając, by świadomość mogła też wieść ku złemu poddałam się namowom Hanki.

Zamknęłam koralikowy świat w pudelko, ścisnęłam go w rękach i dałam się Hance zaprowadzić nad brzeg drogi, gdzie to nowe widnokreśli zabaw miały się przedemną roztoczyć. Za namową Hanki ściągnęłam z nóg buciki i pończoszki, położyłam się z nią twarzą do słońca, grzebiąc nogami w piasku, co jeno się dało. Bo niech tam mówi kto co chce, ale grzebać w ciepłym piasku bosemi nogami — jest rozkosznie. Za chwilę fikałyśmy tak raźnie w rozkosznem ciepłe ziemi, że powstała ztąd kurzawa nie tylko okryła nas od stóp do głów piaskiem, ale i uwagę mej matki zwróciła.

Przybiegła do nas — i, — brzydka Hanka idź do domu! — rozkazała oburzona, mnie zaś oddała służącej zalecając natychmiastową kąpiel. — Nie dosyć na tem przez całą kolację musiałam stać w kąciku pod dyscypliną, z którą znajomość

miały tylko starsze dzieci. Był to pierwszy wstyd upokorzenia jakiego doznałam. Stałam też przez cały czas w poważnem milczeniu z zakrytymi oczyma.

Po kilku dniach, poszło wszystko w zapomnienie i znów bawiłam się z Hanką, ale w piasku odtąd już nigdy nie fikałyśmy. Śmiałyśmy się tylko do siebie na wspomnienie piaskowej rozkoszy i wyrządzonej psoty.

Niebawem przyszła chwila, która zachwiała moje zaufanie w przyjaźń.

### MOJA PERŁA — MATKA WSZYSTKICH KORALIKÓW ZGINEŁA!

Wiedziałam, że perła ta, była dla Hanki najwyższem marzeniem — jej kościołem, a więc nie kto inny, tylko ona ją sobie wzięła.

Zanim zdążyłam powiedzieć, co myślę, Hanka czy to wiedziona strachem, czy może aby ukryć zdobycz pomknęła żywo do domu.

Poszukiwanie za perłą starszego rodzeństwa, a nawet Matki samej — nie odniosło żadnego skutku. — Perła przepadła.

Mój żal po tej stracie był nieutulony. Pierwszy dzień nie wyszłam wcale przed dom. Na drugi wyszłam wprawdzie, ale czempredzej zrobiłam dołek w murawie, umieściłam w nim koralikowy świat, pokryłam trawą, usiadłam na nim, i zabez-

pieczywszy go w taki sposób przed chciwem okiem, rozmyślałam smutna o ludzkiej niewdzięczności.

Matka, widząc moją pochurność, starała się tłómaczyć, że Hance też coś się należało, że mnie zostało jeszcze dosyć koralików, więc ona może mieć ten jeden, że dawno powinnam była jej coś z koralików ofiarować; — ale ja z perswazyi tej nic nie rozumiałam. — Pojęcie podziału własności między bliźnich, nie miało wówczas jeszcze do mnie dostępu. Ja wiedziałam, że ten świat moich zabaw zdobyła łzami, krzykiem, często własną krzywdą, dla której zagojenia starsze rodzeństwo rzucało mi jak okruchy te oto koraliki, i ja, miałam się dzielić z innymi tem — co z takim bólem nabyłam? — Nie! — Na taką ofiarę w pierwszym okresie mego życia zdobyć się nie mogłam. . . .

Zaczęło się coś we mnie buntować. . . Złość i mściwość, których różne przykłady wokół siebie widziałam, zajęły miejsce przyjaźni.

Wiedziałam i widziałam nieraz jak dzieci sobie dokuczają, czemużbym więc — myślałam w dalszym ciągu — nie miała wiedzy tej wykorzystać dla zadowolenia. . . zranionego uczucia.

Dziś wstydę się przyznać, że potrafiłam już wówczas być na tyle zła, że w cichości obmyślałam katusze jakie zadam Hance, skoro się do mnie zbliży. Hanka zaś stała zawsze pod swoim płótem z wypchniętym jak zwykle przedsię brzuszkiem,

z brudnym palcem w pызatej buzi, patrząc we mnie czerwonymi oczyma — zuchwale. — Tak mi staje w tej chwili w pamięci ta biedna brzydota, jakbym ją co dopiero widziała.

Ja, siedząc na moim koralikowym świecie ni-by udzielna królowna, wymyślałam męki dla przestępczyni.

— Rożedrę na niej gałgany — była pierwsza myśl kary; ale z nasunięciem się gałganów przyszło powątpiewanie w srogość kary, — bo czyż jedno więcej rozdarcie podartych gałganów zmartwiłoby winowajczynię?

— Włożę palec w czerwone ślepie! — było następne postanowienie, lecz z uprzytomnieniem czerwonych ślepi doznałam jakiejś odrazy. . Po chwili więc namysłu zadecydowałam:

— Żłapię za kołtuny i nakładę pięścią; ale i tu z wspomnieniem dotknięcia kołtunów nie mniejsza odraza mną owładnęła. — Po niejakimś namysle, ograniczyłam swą złość na... wytknięciu języka...

Musiałśmy stanowić pocieszny obrazek: ja siedząca na moim skarbie — trzymając się obu rękoma trawy — z wytkniętym językiem i uporem w oczach, — Hanka, z wypchniętym naprzód brzuchem z brudnym palcem w piegowatej buzi o czerwonych oczach błyszczących zuchwałością. A ani

na chwilę nie oderwałyśmy od siebie mściwych oczu.

Matka niechybnie baczne na nas miała oko, — a niechcąc dozwolić rozpanoszyć się zemście w młodem mem serduszku, dla zmiejszenia winy Hanki, jęła raz jeszcze tłómaczyć na inny sposób i mianowicie dowodziła, że perła napewno zginęła w piasku. — Argument ten, przypadł mi wreszcie do przekonania, choć silnie wierzyłam, że Hanka perłę zabrała, ale sprzykrzyły mi się dnie samotności, więc udając wiarę w słowa Matki — łagodziłam w sobie srogość uczucia, czego wynikiem gotowam była przypuścić Hankę do współzabawy...

Ale jak się pogodzić?...

Matka wprawdzie (odgadując każdą naszą myśl) powiedziała raz: — bawcie się! — ale to do pojednania nas nie wystarczyło. Odniosło jednak ten skutek, że już na drugi dzień, schowawszy języczek za zęby, posunęłam się z moim skarbem w stronę Hanki o cały łokieć. A ta, nie wyjęła wprawdzie paluszka z buzi, gdyż ten prawie zawsze miał tam miejsce, ale posunęła się też ku memu królestwu, co najmniej o dwa łokcie, tak, że już trzeciego dnia znalazłyśmy się obok siebie.

Bawiłyśmy się... Ale ufność przepadła bezpowrotnie.

Ani na chwilę nie powierzyłam Hance mego skarbu. Wyjmowałam tylko po kilka koralików,

które potrafiłam obliczyć nie cyframi, a barwami. — O — bo ja je wszystkie tak znałam jak jeden!... One stanowiły mój świat! moje królestwo! Wpatrywałam się w kolory, w rozmiar ich pilniej jak we wszystko inne na świecie, — one uczyły mnie myśleć i kochać. Każdy głębiej zauważony przedmiot w domu lub za domem przenosiłam czempredziej na który z ukochanych koralików. Była w nich treść mej duszy dziecięcej, — tylko “perły — matki” brakowało...

Wśród tego życia w pamięci mej zarysowuje się gwałtowna zmiana. Jedziemy w daleką podróż. — Matka tuli mnie zapłakaną, usiłując wmówić, że skoro zajedziemy na miejsce odzyskam moje koraliki. Ale ja z jej głosu i kilku słów wyrzeczonych pocichu do mej starszej siostry poznaję, że koralików zapomniano, że zostały one daleko za nami... i — na myśl nie ujrzenia ich już więcej — zaczynam płakać na nowo.

W pół chorą z tęsknoty za moim światem przywieziono mnie na miejsce. Tu, czekało na mnie mnóstwo zabawek, których nikt oprócz mnie nie dotykał — byłam wyłączną ich właścicielką, więc powoli i o koralikach potrosze zapomniałam. Miałam cały rząd prawdziwych gęsi, śliczną białą owieczkę z dzwoneczkiem na szyi, malutki gołębnik z gołębiami, dwie — wyraźnie dwie lalki z prawdziwymi włosami, pajaca czerwonego, który

pociągnięty za sznurek skakał pociesznie, piecyk do gotowania, naczynia kuchenne, całą zastawę do stołu, jednym słowem bogactwa, które pięcioletnią wyobraźnię łatwo do siebie przynęcić mogły. Wzięłam się też tak szczerze do mojego nowego gospodarstwa, że nawet odjazdu Matki nie zauważyła.

Odtąd, każdy dzień wnosił w mą pamięć coś wyraźniejszego. Ciągłe nowe zabawki przykuwały do siebie, każąc zapomnieć przeszłość, a jednak — pamiętam dobrze — tęskniłam bardzo za zabawą w koraliki u nóg drogiej Matki. Alboż moje uciechy zmartwienia i wrażenia rozumiał kto tak jak Ona?

Zaczęłam się też uczyć. W taki sposób przeszły dwa lata, zacierając po troszę rodzinnego domu wspomnienie. Naraz, nawiedziła mnie choroba w postaci szkarlatyny i jakiejś jeszcze drugiej również niebezpiecznej choroby. — Pamiętam zaczęło się pod wieczór bólem głowy i wymiotami i odtąd niewiem już co się zemną działo.

Ponieważ dni moje były policzone, posłano przeto po Matkę rozstawnie konie (najszybsza podróż w ówczesnym czasie).

Nie wiem jak długo leżałam bezprzytomna, nie wiem kiedy Matka przybyła. — Pamiętam tylko, że raptem obudziłam się jak rano po zwykłym śnie, a widząc pochylonego nad sobą Wuja, którego bardzo kochałam, objąwszy go rękoma za

szyję — powiedziałam mu jak zwykle “dzień dobry”. Może przy tym ruchu dojrzałam niewyraźnie Matkę i to wywołało następne rojenie, może ją wyczułam — ja nie wiem. Ale wiem, że dziwne rojenie to było tem dziwniejsze, że sprawdziło się co do joty.

Z ramion Wuja opadłam na poduszki i oto mrok jakiś zaczął mnie otaczać; powoli, w ciemności tej, wyłoniła się murawa, na której ongi się bawiłam, a na niej ujrzałam Hankę w takiej pozie jak w dzień naszego gniewu o zginioną perłę. Wtem, Hanka uśmiechnęła się dziwnie, co wywołało jasność dookoła, a potem powoli — zaczęła zamieniać się w ślicznego Anioła, z którego coraz większe biło światło. — Patrzałam zdumiona w Hankę-Anioła, a ona rzucała w okół mnie jeden po drugim znane koraliki. Wszystkie już leżały u stóp mych oprócz — “perły-matki.”

— Hanka! Moja perła? — zawołałam wyciągając ręce do Anioła.

Anioł znów zaczął się zmieniać w bosą, brudną Hankę, a ta podając mi upragnioną perłę z tym samym uśmiechem, z którym przyszła — powiedziała:

— A widzisz, żem ci ją oddała!

Rzuciłam się gwałtownie naprzód z okrzykiem — Moja perła! — i z temi to słowy zerwawszy się z pościeli padłam Matce w ramiona.



Nigdy w życiu potem nie było mi tak dobrze, jak wówczas w drogim mi objęciu. — Słyszałam wszystko co dokoła mnie się działo, alem ani się ruszyła, ani wydała głosu.

Słyszałam jak lekarz z sąsiedniego miasteczka — dobry przyjaciel naszego domu — zegnał Wu-jostwo powtarzając — uratowana! — Czułam lzy matki na mej twarzy, głaskanie mych rąk przez sługi, szepoty, chodzenie, ale co mnie to mogło obchodzić? — mnie było tak dobrze... tak błogo... tak anielsko...

Po długim śnie, w następnym dniu, dowiedziałam się o mej chorobie, o przyjeździe Matki, o wszystkim...

Potem, zaczęły się dni dogadzania mi, a potem, śmiechy, historyjki wymyślane ku mej rozrywce.

Matka, ciekawa o ile też jeszcze pamiętam rodzinny dom, wspominała to i owo z dziecięcych mych chwil. Słyszałam jak snów czarownych, przerywając je od czasu do czasu jakimś pytaniem. Wśród serdecznych tych zwierzeń, zrozumiałych tylko dla matki i dziecka, pewnego razu, Matka moja powstała i wyszła do dalszych pokoi. Po chwili wróciła, niosąc w rękę znane mi pudełeczko z koralikowem mem światem. Nie rzuciłam się ku niemu tak radośnie jak w owem śnie wobec Hanki,

ale raczej z zamartem sercem patrzałam w nie osłupiała.

Tyle wrażeń! Mała moja głowa pomieścić ich nie mogła.

Wyciągnęłam wreszcie po skarb mój rękę i uśmiechając się do Matki wyszeptalam: — Moja perła!

— Masz ją! Hanka ci ją oddała zanim poszła do nieba — odpowiedziała Matka.

Zadumałam się, nie rozumiejąc tych słów. Czyżby Matka widziała mój sen? Czyżby widziała jak Hanka-Anioł oddała mi perłę?

Widząc moje zmieszanie otworzyła pudełeczko ulubionych koralików, gdzie na samym wierzchu leżała biała perła.

Następnie opowiedziała, że Hanka w sześć tygodni po mojem wyjeździe umarła jak wszyscy twierdzili z tęsknoty za mną.

Matka moja odwiedzała biedną, opuszczoną nędzę do ostatniej chwili jej życia. Na dwa dni przed śmiercią wskazała spruchniałe w podłodze miejsce, w którym ukrywała moją perłę. Kazała sobie ją podać i pieściła ją do ostatniego tchnienia. Przed śmiercią mówiła do swej matuli:

— Matulu, oddać ten kościół Halince, (Hanka tylko jedna nazywała mnie Halinką) Halinka bawiła się ze mną, gdy inni mnie bili lub uciekali

odemnie; Hanka pójdzie do Nieba bawić się w perły Jezusowe, a tę oddać Halince.

Matka moja będąc bardzo uczuciową i religijną opowiadała to z wielkiem wzruszeniem i przejęciem co czyniło na mnie nader silne wrażenie.

Na razie, nie potrafiłam powtórzyć osobliwego snu w czasie przesilenia choroby, ale nie zatarał się on nigdy w mej pamięci.

Wszystkie te wspomnienia związane razem były moim Aniołem Stróżem w dzieciństwie, gwiazdą przewodnią w wiosennej młodości, ratunkiem w burzy kwiecistego lata.

Nie! nie zapomniałam ich nigdy! one są treścią mego żywota. Niewinne marzenia dziecka u stóp Matki stały się jego tarczą — jego wiarą!

Barwy koralików odbite pierwsze na czystej duszy dziecięcia, wytworzyły w niej świat tęczyowych marzeń. . . Świat ten, wypełnia mi dziś życie. Z niego snuje powieści i powiastki, jakby sznur koralu; jednego niestety koralika w zbiorze mem brakuje, a mianowicie tego, któryby otaczający mnie nazwali — “perłą.”

Czy wydobędę kiedy z głębi uczucia mego taką “perłę” — nie wiem.

Hanka — brzydota, — nie! — Hanka-Anioł czuwa nademną, kładzie mi w myśli te skromne koraliczki barwnych utworów, — kto wie, może z czasem poda mi i — upragnioną “perłę.”



## NA JASNEJ DRODZE.

“Yankee doodle went to town  
Riding on his pony,  
He stuck a feather in his hat  
And called him macarony,  
Yankee doodle keep it up  
Yankee doodle dandy  
Mind the music and the step  
And with the girls be handy.”

Piosnkę tę, znaną każdemu dziecku Ameryki śpiewał przytupując na sposób amerykański dwunastoletni chłopczyzna — opuszczając powoli szkolny dziedziniec.

Godzina była czwarta. Wszystkie już dzieci o tym czasie powracały do domów oprócz Mika, który rozmiłowany w "Yankee doodle", a właściwie w skokach towarzyszących piosence, pozostał na dziedzińcu szkolnym, sądząc zaś, że go nikt nie widzi wyśpiewywał i podrygał pociesznie.

Omylił się Mike. Nie sam się znajdował, było tam jeszcze dwóch chłopców, a każdy pozostał dla innego celu.

Niebawem też spostrzegł jak z szkolnego budynku wybiegł szybko uczeń z tejże klasy co i on — Kuba, jak rozglądał się uważnie dookoła, a następnie przycisnął ostrożnie zamurem trzymając w rękach w poprzek framugi drzwi, cienki kij.

Mike skoro tylko spostrzegł Kubę przestał śpiewać i z ciekawością przypatrywał się zdradzieckiej robocie, bo że Kuba szykował sidła na kogoś to było widoczne. Wreszcie nie mogąc zmódc ciekawości zawołał:

— What's the matter Kuba? kogo ty chcesz przewrócić?

— Wojtka! But keep still!

— What Wojtek has done to you? Pewnie znów napisał ci kredą krzyż na plecach.

— Gee whiz! Keep still! Popsujesz wszystko!

Ale Mika wykrzykniki te nie odstraszyły, przeciwnie, przeczuwając z całego zachowania się

Kuby poważną historycę, przysunął się do niego i—  
tell mi — nalegał.

Kuba rad nie rad, aby się pozbyć molestującego Mika jął opowiadać, że Wojtek rodem z Galicyi, ciągle go jako pochodzącego z zaboru pruskiego — nazywał prusakiem, zaś teraz pisał mu ciągle krzyże na plecach i odważył się nawet nazwać go Krzyżakiem.

Mike — mówił rozżalony chłopczyzna, ty tego nie rozumiesz i nie czujesz, boś ty tu urodzony, ale mnie boli jak taki galicyak powie mi prusak, a galicyak jest głupszy od prusaka, — pamiętaj to sobie na zawsze.

— Well — odparł poważnie Mike; — ja myślę, że galicyak czy prusak to wszystko jedno.

— Boś ty Yankee to nic nie wiesz! Pst! — syknął — słyhać kroki na korytarzu. Wojtek idzie.

Mike na to, przeszedł po cichu prędko na drugą stronę chodnika oparł się o poręcz i jakby o niczem nie wiedział zaczął znów swoje “Yankee doodle”. Oczy trzymał na podstawionym kijku, bo psota ciągnęła je do siebie, — od tego przecież był chłopcem.

Ru—u—um! bęc! i Wojtek leży jak długi, ale na sekundę jeno, bo zmiarkowawszy od razu co się stało, rzucił się na Kubę z całą zapalczywością.

Kuba, nietylko, że razy dzielnie odpierał, ale i atakującego dobrze okładał.

Mike rozbawiony tą sceną, trzepał się dłońmi po kolanach i śmiejąc się na całe gardło krzyczał:

— Fine!

— Great!

Go to it Kuba!

— Give him one Wojtek!

Chłopcy na moment przestali walki, a zmierzwszy Mika roziskrzonymi oczyma niemal razem zawołali:

— To ty nas obydwóch będziesz podburzał? i nie czekając tłumaczenia uderzyli na Yankesa.

Źle byłoby się może skończyło dla Mika, gdyby w tej chwili nie wybiegła była ze szkoły równa im wiekiem dziewczynka.

Ta, spostrzegłszy, co się dzieje, szepnęła do siebie: — Trzeba ich rozbroić.

Podeszła śmiało i : —

— Chłopcy, chcecie chewing gum? — zapytała, — siostra mi dała tak dużo . . .

— Naturalnie, że chcemy — daj!

— Dobrze, dostaniecie, ale wprzód posłuchajcie historyjki; bo siostra też choć byłyśmy pomęczone robotą wpierw nam opowiedziała historyjkę, a dopiero potem dała cukierków i chewing gum. Siostra jest bardzo dobra. Zawsze jej pomagam

po nauce w klasie, a ona zawsze co opowie i zwykle mi coś da.

— No gadaj już, gadaj — ozwał się zwa-  
wy Kuba, bo chewing gum chcemy.

— Hen, za górami, lasami i wodami — roz-  
poczęło dziewczę — jest śliczny kraj, a w tym kra-  
ju jeden wielki biały ptak, a taki piękny, że  
wszyscy ze sąsiedztwa chcą go mieć i wyciągają po  
niego ręce, więc ci ludzie co są w tym pięknym  
kraju, aby go obronić trzymają go za pióra...  
Ale niebaczni, sami w taki sposób wydzierają mu  
pióra, a potem kłóć się między sobą kto go zpię-  
knych piór odarł. A ten kraj nazywa się Polska,  
a ten ptak to biały orzeł, co jest godłem Polski.

Domówiwszy tych słów, dziewczynka się za-  
myśliła, a Wojtek, który zawsze takiego patryotę  
okazywał odezwał się drwiąco:

— To mi też historia, miałaś nam co opo-  
wiadać.

— A przecież, że miałam, — broniła się  
dziewczyna, — wy też tak samo robicie jak w tym  
polskim kraju; kłóćcie się między sobą, kto jest  
lepszym Polakiem, a przeez to jeno jeden drugiego  
uczycie się nienawidzić. Wstydźcie się!

— Patrzcie ją! Jak nam to będzie prawila!  
Dawaj chewing gum, bo jak nie to i tobie polską  
siłę pokazemy — wrzasnął śmiały Kuba.



Dziewczyna trochę się zatrzymała, bo na dziedzińcu mrok zaczął się rysować, chłopców było trzech, a ona jedna. Chłopaki zaś coraz bliżej do niej podchodzili.

Wyjęła chewing gum i trzymając na wyciągniętej przed się dłoni cofała się tyłem ku bramce. Dla ostrożności, chcąc dopiąć celu, taką a nie inną wypadało zająć pozycję.

Chłopaki sięgnęli skwapliwie po chewing gum, a ona uśmiechając się swawolnie prawiała dalej:

Ale jeszcze jedną wiem historyjkę, ta wam się napewno spodoba.



Ja dziewczyna wyprowadziłam was na jasną drogę.

Mówiąc to, ciągle szła tyłem naprzód, a chłopcy mimowoli szli z nią.

Doprowadziła ich w taki sposób do środka ulicy.

Chłopcy, zniecierpliwieni, znów, nagabywali o drugą historyjkę.

— Ona pewno nic nie wie, jeno nas tak mami — mówili między sobą.

— A wiem! — odrzekła naraz śmiało dziewczyna. — Wiem to, że ja dziewczyna powstrzymałam was od bójki, że wyprowadziłam was z ciemnych murów na ludzkie oczy — NA JASNĄ SZEROKĄ DROGĘ. . .

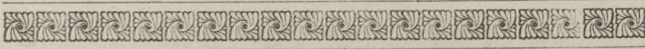
Po tych słowach śmiejąc się serdecznie pobięła naprzód tak prędko, że jeno spodniczki za nią szeleściły.

Chłopcy trochę zawstydzeni spojrzeli po sobie, a żywego usposobienia Kuba pierwszy zawołał:

— Widzisz ją! mądralina! . . . Skoczmy za nią i niedarujmy za swoje.

Ale zastanawiający się nad wszystkim amerykańnin Mike, powstrzymał gwałtownego Kubę, mówiąc:

— Never mind Kuba, SHE IS ALLRIGHT!



## PODCZAS WAKACYI.

— Niech mama będzie spokojną! Będziemy grzeczni i powrócimy do domu na szóstą, tak — jak mama chce. Jeszcze raz buzi mamusiu! a niech mi mama zostawi trochę tych dobrych powideł, które dziś będziesz smażyć — tak?

— I mnie też trochę mamo, przecież dziś będę opiekunem Stefy, to chyba na taki przysmak sobie zasłużę. Pocałuj i mnie mamo i zycz nam wesołej zabawy.

Powyższe słowa były wypowiedziane przez dziesięcioletnią Stefę i o rok starszego od niej Zygmunśia.

Matka objęła serdecznym uściskiem oboje dzieci a upomniawszy jeszcze raz aby były grzeczne uważne i powróciły nie później jak o 6-ej, odprowadziła je czułym wzrokiem od progu domu aż do zakrętu ulicy.

— Wiesz Stefa — zagadnął Zygmus — gdy już usiedli w tramwaju, — nie mogę się doczekać dzisiejszej zabawy. Pójdziemy z Władkiem w krzewy — to ci będzie uciecha! Ja bym chciał mieszkać tak jak Władek za miastem.

— A ja bym się bała napaści Indyan.

— O — Stefa! wstydź się za siebie! to ty jeszcze nie wiesz, że tu w naszych okolicach Indyan nie ma? Oni daleko stąd mają wyznaczone swoje grunta i tam mieszkają. Czy w twojej klasie nic jeszcze o tem nie uczą?

— Właśnie przed ukończeniem szkoły Siostra opowiadała ale...

— Aleś pewno spała!

— Przecież, — spała? — Miałam oczy zapłakane, bo mi Franek ściągnął z głowy wstążkę i wrzucił do wody; a co ja się o tę wstążkę mamy naprosiłam, i na taką ładną kokardę była zawiązana, a ten nicpoń tak zmarnował...

— Aha! — rozumiem, więc strata kokardy zakryła historię Indyan.

— Zygmus — ty szadzisz! boś ty chłopiec toś też nie lepszy!...

— Ale bo naprawdę, Stefa, ty nic nie wiesz co się gdzie na świecie dzieje.

— Ale za to wiele rzeczy umiem w domu zrobić a ty nie!

— To mi wiadomości! ciekawym co cię najwięcej z historii domowej zajmuje?

— A nie będziesz się śmiał, to ci powiem — i dasz mi tę szpileczkę czerwoną coś wczoraj znalazł!...

— O — nie! szpilkę dam Mańce jak zajdziemy.

— To ja też mój sekret powiem Władkowi.

— W takim razie będę go miał!

— Kto wie? Może i nie!

— Ale patrz jeno Stefa przez okno, jak tu pięknie, domy tylko gdzie niegdzie — drzew wszędzie pełno.

— Mnie się zdaje, że to już tu musimy zejść.

— Jeszcze kawałeczek, o widzisz tam za tem polem kukurydzy.

Wkrótce kara przystanęła i oboje wysiedli.

Szli jeszcze mały kawałek w bok drogą a nibawem zastukali do małego domku otoczonego murawą i drzewami.

Żaden głos im nie odpowiedział, więc mniemając że nikogo w domu nie ma, postanowili posiedzieć chwilę na trawie, a potem zawrócić do domu.

Zygmus zrzucił z siebie flintę jaką dla zabawy zabrał, a Stefa ułożyła swą lalkę, zdjęła kapelusze i rozsiedli się wygodnie wdychając świeże powietrze i rzucając ciekawym wzrokiem do koła. Zieleń, kwiaty, drzewa tak ich zajęły, że uszło zupełnie ich uwagi poruszenie firanki w oknach i ciche stuknięcie od tyłu domu drzwiami.

Cisza podziałala jakoś lekliwie na nich, szczególnie na Stefę. Radziła więc już zbierać się do domu.

— Wiesz co? — mówiła — mnie by się tu ciągle zdawało, że mnie napadną Indyanie. . .

— Jakbyś się wzięła do tej historyi co to robisz z niej sekret — to byś o Indianach zapomniała.

W tejsze chwili uslyszeli poza plecami jakiś szelest, ale zanim zdołali się obrócić — czarna opaska spadła im na oczy.

— Indyanie! — krzyknęła trwożliwie Stefa.

Zygmus nie wydał głosu, tylko raptownie choć nie widział, sięgnął po leżącą obok strzelbę.

— Zygmus! ratuj! — jęknęła Stefa.

— Nie bój się! jestem przy tobie! — odpowiedział dość odważnie chłopcyna, a wyciągnawszy w jej stronę rękę starał się ją uchwycić.

— Hi — hi — hi — hi! — Zachichotało nad ich głowami, na co oboje wykrzyknęli radośnie: — Władek! Mańka!

Ci zdjęli ręce im z oczu i pocziwa czwórka zaczęła się ścisnąć przy czem nie obyło się bez kociółków i kulania po trawie.

Gdy pierwsza uciecha minęła, dowiedzieli się goście z miasta, że rodzice ich przyjaciół wybrali się za sprawunkami, a zatem Władek jako starszy miał poleczone w razie gdyby kto pukał, nie otwie-

rać nikomu. — I tak się też stało. — Ale jak ujrzeli przez okno, że nie cygany, ani włóczęgi, ale ich najlepsi przyjaciele spoczywają przed domem, umyślili spletać im figła.

Po wykrzyknicach i wypytywaniach zaczęto radzić, jak spędzić dzień.

Mańka miała przykazane pomyć naczynia, wypadło też przyrzędzić mały posiłek, postanowiono zatem, że chłopcy na niejaki czas pójdą niby polować w przyległe obok krzewy, a dziewczęta zajmą się domem.

Poswawolili jeszcze trochę, Zygmus przymilił się Mańce znalezione szpilką, poczem się rozdzielili. Napierali przed odejściem Stefę o jej wiadomości z historyi domowej, ale się zawzięła w milczenie — dopiero jak już plot przeskakowali — zawołała za nimi:

— Jak zająca przyniesiecie, to powiem mój sekret! . . .

Dziewczęta po odejściu chłopców, zaczęły mówić o lalkach. Stefa podniosła swoją i pokazała wszystkie spódniczki jakie co dopiero uszyła, nawet koronki przy nich były jej własnej roboty.

Mańka zaczęła też opowiadać o swojej lalce, a chcąc się nią pochwalić, zmierzała ku domowi. — Wyglądała jej pociecha trochę opuszczona, więc ją tłumaczyć, że mama tak ją Mańkę zaprzęta do

roboty, że ledwie raz na dzień na godzinę może się swej lalusi oddać.

— Mama pod tym względem jest nieublagana — mówiła rozpacznie. — Ja ze swemi dziećmi będę zupełnie inaczej postępowała.

— Och te mamy! — dodała Stefa, — moja mię znów ciągle napędza do książki — a mnie tak to nudzi.

— Prawda, że te mamy są okrutne! — westchnęła Mańka, — ale jakby to było bez mamy?

— Ja chcę moją! — zaszlochała Stefa.

— Ja moją też! — dorzuciła prędko łkając Mańka.

— Już lepiej niech będą i nas uczą.

— Niech będą!

— To tak okropnie być sierotą.

— Okropnie!

— Mama mi kupiła na nową sukienkę!

— A mnie w niedzielę wzięła do teatru!

— Kochana mama!

— Moja jeszcze kochańsza!

— Nie! bo moja kochańsza.

— A jak tego dowiedziesz?

— Zrobię wszystko, co mama chciała.

— A ja będę grzeczną tak jak mama kazała.

— Wiesz co Stefa? ty usiądź na kolebaczu i zaśpiewaj co do snu naszym lalusiom i ulóż je potem do łóeczka a ja tym czasem pomyję naczynia.



Zsunęło dziewczątko rękawy za łokcie napel-  
niło misę ciepłą wodą i omywało jedne po drugich  
naczynia.

Zaś Stefa usiadła w kolebaczu, przytuliła do  
siebie lalki i zaczęła najpierw po trosze próbować  
głosu aż wreszcie zanuciła śmiało.

Wiem ja, bo mi o tem,  
Mama powiadała:  
Żem dziecię tej ziemi,  
Żem jest Polka mała.

I wiem, jak mi Polska  
Jest droga i miła,  
Bom się w polskiej mowie,  
Pacierza uczyła.

Bo przy Bożym tronie,  
Polscy święci stoją,  
I codzień się modlą,  
Za ojczyznę moją.

Więc i ten paciorek,  
Polskiego dziewczęcia,  
Przyjm o wielki Boże,  
W ojcowskie objęcia.

Bo on się z mej duszy,  
Wyrывa jak łkanie:  
"Ojczyznę i wolność,  
Racz nam wrócić Panie!"

Wtórowała jej Mańka, i ktoby tak był zobaczył i usłyszał w oddalonej chacie na obecej ziemi tę polską nutę śpiewaną tak dobitnie przez te dwie dziewczynki, musiałby wynieść przekonanie, że polski duch zmartwychwstaje za morzem.

Po śpiewie, Stefa ułożyła lalusie, okryła je kolderką, popatrzała na nie z troskliwością, spojrziała na Mańkę, a widząc, że ta jeszcze ma dużo roboty przed sobą przypasała fartuszek i jęła ocierać omyte naczynia.

Ukończywszy całą robotę, usiadły na chwilę i zaczęły rozmyślać, bo Mańka frasowała się coby uszykować na przekąskę.

Stefa ofiarowała zrobić paja, który to właśnie był specjalnością z dziedziny jej wiedzy kucharskiej i przedstawić go chłopcom jako ulubiony dział nauki z historii domowej.

Mańce przypomniało się, że są jeszcze jagody w ogródku, więc wzięły koszycki i poszły je zbierać. Wracając do domu, zajrzały do kurnika, wybrały kilka jaj i ze świeżą zdobyczą weszły do domu.

Południe się zbliżało — trzeba było kurom rzucić trochę ziarna. Poszły raz jeszcze dziewczęta, zaspokoily kurze żołądki i dopiero na prawdę zaczęły myśleć o swoich.

Wpadły w kukurydzę, ułamały kilka basiek, następnie wyrwały kilka rzodkiewek i niosąc zdo-

bycz we fartuszkach — jak prawdziwe gospodynie, wesoło wzięły się do roboty — “paja”.

Mańka postawiła na stole stolniczkę, mąkę, smalec, sól i trochę wody w szklance. Sama następnie wzięła się do obierania jagód, a Stefa do ciasta.

Cztery łyżki smalcu zmieszała z mąką, wlała trochę wody, wymieszała, o ile trzeba by się ciasto rozkawałkowało cienko. Położyła połowę na wysmarowaną masłem blaszaną patelkę a podczas gdy rozwałkowywała drugą połowę ciasta, Mańka obrała i opłukane jagody ułożyła na cieście na patelni. Pouczona przez Stefę, posypała je dobrze cukrem, trochę cynamonem, przyniesła ze spiżarni kawałek świeżego masła i wielkości orzecha położyła tu i owdzie na jagodach. Brzeg ciasta zwilżyła wodą co pomogło skleić położoną resztę rozwałkowanego ciasta. Zacisnąwszy brzegi, Stefa okroiła ciasto nożem do koła blaszanki. Podniosła potem paluszkami złączony brzeg ciasta, co wytworzyło falującą ramkę. Końcem noża przebiła w formie gwiazdy wierzch, aby jagody smażyć się, nie wysadziły ciasta i nacieszywszy się z Mańką z wielkiego dzieła — wsadzili go do gorącego piecyka.

Godzina była pierwsza, chłopcy obiecali wrócić na drugą. Pajowi, aby był dobry, trzeba było siedzieć w piecu blisko pół godziny. Kukurydzę można było ugotować we dwadzieścia minut, jaja

potrzebowały tylko kilkunastu minut, zostawało więc teraz podczas pieczenia paja, kawał wolnego czasu.

Sprzątnęły zatem wszystko czyściutko ze stołu, zabrały lalusie bo też się już obudziły i wyszły w chłód drzew.

Teraz rozpoczęła się najserdeczniejsza, najpoufniejsza rozmowa jaką tylko dwie szczere przyjaciółki prowadzić mogą, a mianowicie zaczęło się rozpatrywanie dobrych i złych stron lalek.

Mańka balwochwalczo uwielbiała swoją—ona jej przecież wypełniała długie samotne godziny na odosobnionej farmie. Nawet na ogród, a i w krzewy ją brała.

— Patrz — mówiła — dlatego to ona taka wygnieciona i ubrudzona.

Stefa znów skarżyła się, że swojej wszędzie brać nie może, a tak by się z nią chciała pokazać. Nawet w teatrze nie mogła się bez niej obyć. — Raz też — zgrzyszyła bardzo w kościele. Wpatrzyła się w anioła w ołtarzu który, zdawało się jej, był tak podobny do lali i tak się zapomniała, że ciągle w myśli powtarzała: Moja święta lalusia — módl się za nami. Zwierzyła się potem z tem mamie, bo ją bardzo sumienie dręczyło, a mama modlitwą kazała przeprosić aniołka.

— Ach Mańka! co ja wycierpiałam i cierpię, bo jak w kościele widziałam lalę w aniele, tak teraz w lali widzę aniola.

— Ja nie myślę, żeby to był grzech, przerwała Mania, przecież żebyś mniej widziała dyabła — toby było gorzej. Ale wiesz ty co mnie się raz śniło?



Stefcia i Mańka zwierają się sobie nawzajem.

— O ja wiem, może pachnące ciastka w niebie.

— A gdzieżtam ciastka; śniłam, że moja lala była wielką poetką. —

Raz, tatuś cały wieczór czytał wiersze tej poetki co to już umarła, a mnie się potem śniło, że

całe popołudniu byłam sama w domu i tak cicho było, aż się bałam, więc ciągle patrzyłam na moją lalę a ona naraz się odezwała:

Lubię ciastka i cukierki,  
I bardzo lubię kotlety  
W różowe paski lubię sukienki,  
Oto są moje zalety.

— Ach, jak to pięknie! — zawołała w zachwycie Mańka — powtórz jeszcze raz, jak ja bym chciała być poetką; ale mnie nic w szkole nie idzie — kucharką pewno zostanę. — Żebym to ja choć raz takie cuda śniła.

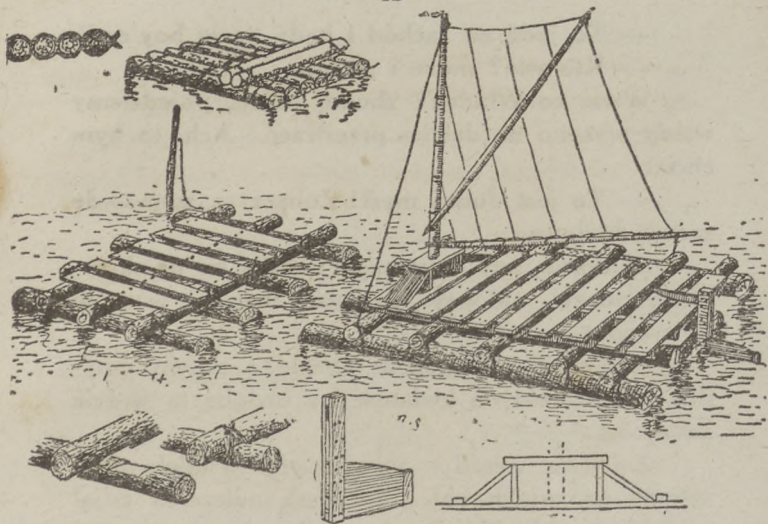
— Jakbyś tu była na farmie, to by ci się różne rzeczy przyśniły.

Zostawmy na chwilę dziewczątka opowiadające sobie sny i sekrety a pójdźmy zobaczyć jak się też chłopcy bawią.

Skoro dostali się w krzewy, krzykiem hu, ha! zaczęli straszyć zwierzynę i ptaki. — Szelest uciekających wprawił ich w znakomity humor. Bo to tak miło widzieć że się nas ktoś boi, tak miło wiedzieć, że się jest wielkim i silnym.

Kilka razy zgubili się, ale donośne hu! ha! złączyło ich znowu. Zygmus nie mógł się dosyć nacieszyć swobodzie.

Spoceni, pomęczeni, usiedli na pniach prowadząc szczerą gawędkę.



Tratwa Władzia.

Władziu był o nie cały rok starszy od Zygmunusia i wogóle poważniejszy. Marzył tylko o mieście — o fabrykach. Zaprowadził Zygmunusia w krzaczyste miejsce gdzie miał ukrytą tratwę swej roboty. Pokazał mu też cały warsztat, jakiego się dorobił. Zwierzył się, że gdy liście szumią, albo ptaki świergocą, to jemu się zdaje, że słyszy rząd i świst maszyn. — Ja będę mechanikiem — zobaczysz.

— A ja, pędziwiatrem — rzucił wesoło Zygmuś — lubię pole, zboże, drzewa.

— To jedź na zachód i bądź "cow boy'em".

— Kto wie? może i pojadę.

Wiesz co Władek? zbuduj balon, pojedziemy wtedy wysoko na daleką przestrzeń. Ach, to bym chciał.

— To jest dobra myśl! Zobaczysz, naprawdę zacznę budować.

W czasie, gdy dziewczęta unosiły się na skrzydłach poezyi, chłopcy budowali balon i wznosili się w górę.

Gawędzili tak jeszcze chwilę a potem umyślili narwać leśnych kwiatów i z ozdobą tą wrócić do domu.

Zaledwie weszli w zarośla, gdy Władek położywszy na ustach palec na znak milczenia zdjął z siebie szybko bluskę i rzucił rozpostartą pod krzew.

— Zygmuś, tu jest żywy zając! — zawołał radośnie. Chodź, dotknij się!

Zygmuś dotknął przez bluskę i rzeczywiście coś żywego pod nią się ruszało.

Przycisnęli brzegi bluzki do ziemi, a następnie omotanego w bluskę zająca Władek wziął na ramię.

Radość, podwójnemi krokami gnała ich do domu; przystanąli jednak raz, rozmyślając coby też zrobili, gdyby to był wielki skarb w miejsce owego zająca, a zbójcy zabiegli im drogę.



Bronilibyśmy do ostatniego tchu — zdecydowali równocześnie.

Naprzykład gdyby to był skarb którym by można odbudować Polskę—zauważył więcej czytany Zygmunt, — a nieprzyjaciół chciałby go nam wydrzeć.

— Niechby jeno tak ze mną zaczął — ale wiesz co? — s próbujemy, ja niby niosę skarb na odbudowanie Polski — a ty jako nieprzyjaciół będziesz mi go chciał odebrać. Jeżeli ci się uda — Polska straci dobrobyt, a jeżeli nie — Polska będzie wielką! — Próbujmy sił naprawdę.

Rozradowani z pomysłu — z figlarnym zachwytem spojrzeli sobie w oczy — i rozbiegli się.

Po chwili Władek wyszedł na ścieżkę prowadzącą do domu i oglądał się ostrożnie na wszystkie strony. Dochodził już do skraju gąszczy i nieomal że już wyszedł pomiędzy zbożem, gdy Zygmunt zabiegł mu drogę i po krótkiej walce odebrał skarb. Puścił się żywo ku domowi, śmiejąc się na całe gardło.

Władek chwilę się namyślił i zapalił się naprawdę — raz ze wstydu, a powtóre choć to była gra, ale zabolalo go aż w piersiach, bo przecież porażka jego miała oznaczać — Polski stratę.

Wskoczył w żyto, i nie dbając o łamiące się za nim kłosa, — co tam kłosa — o Polskę chodziło, — cichutko dogonił Zygmunia.

Ten, pewny, że Władek, zawstydzony pozostał w krzewach, sam pośpieszył do domu, aby przed dziewczętami pochwalić się czemprowadzej zdobyczą.

Nucił sobie głośno, gdy najniespodziewaniej Władek zaskoczył z tyłu i bez wysiłku drogocenny skarb odebrał.

— A widzisz! Polska będzie wielka!

— Będzie wielka! krzyknął Zygmunt choć mu trochę było markotno, że tak łatwo dał sobie zająca odebrać.

Ale ze względu na Polskę i na zająca, którego trzeba było ochraniać, poprzestali dalszej próby, zresztą blisko też już było domu.

Dziewczęta zauważyły ich powrót i wiewały na znak powitania chusteczkami.

Chłopcy, do urzniętych poprzednio w lesie prętów przywiązali także swoje chusteczki co miało oznaczać sztandary i tak odznaczeni, wracali jak prawdziwi zwycięzcy.

Dziewczęta rzuciły się teraz do domu przysposobić stół. Nakryły pręciutko, ustawiły talerze, wrzuciły kukurydzę na wrzącą osoloną wodę, jajka także, a na stole postawiły masło, ser, obraną rzodkiewkę pokrajaną w talarki i osoloną, a na samem środku paj, ale przykryły go serwetką — chcąc chłopcom zrobić niespodziankę.

Tymczasem chłopcy wpuściwszy zającą w próżne zagrodzenie, gdzie zwykle trzymano małe kurczęta — weszli do domu.

Na widok zastawionego stołu zrobiło im się nad wyraz przyjemnie, bo wylatawszy się — byli głodni aż strach.

Podczas gdy Mańka wykladała z garnków kukurydzę i jajka, Stefa, naląła na dwie miednice wody, w której obydwaj chłopcy obmyli się z kurzu. Podała im ręcznik, a tymczasem i Mańka oznajmiła, że przkąska gotowa.

— A my myśleli — ozwał się żartobliwie Władek, — że to Stefa uraczy nas sekretem swej wiedzy.

— Powiedziałam przecież — odparła komiczno-poważnie, że odkryję moją tajemnicę, jeżeli przyniesiecie zającą.

— Trzymamy cię za słowo! — zawołali żywo obaj chłopcy razem.

— Nie cofnę go! wyrzekła z przeświadczeniem.

— Będziesz miała zającą — chodź! Schwycili ją, jeden za fartuch, drugi za ręce i zanim się spostrzegła już byli za drzwiami. Mańka zaciekawiona biegła pędem za niemi.

Wystraszone zajączysko, które przed chwilą rozstrzygało dobrobyt Polski, siedziało skulone

w kąci i musieli chłopcy postraszyć go, aby się wreszcie przedstawił jako prawdziwy żywy zając.

— Zając!. naprawdę. zając!. wykrzyknęły dziewczęta.

— Zając! zając! wtórowali chłopcy.

— A ty Stefa co nato? śmieli się łobuzy.

— Kto wie, może mam niespodziankę za niespodziankę, i przybrawszy tajemniczą minę wzięły się z Mańką za ręce i zawróciły do domu.

Chłopcy śmiejąc się, szli za niemi.

Mańka krzywiła się, że kukurydza ostygnie, więc czempredzej zasiedli do stołu.

Gdy już wszystkiego po trochu podjedli, a chłopcy ciągle dręczyli Stefę pytaniami — o jej sekret, zciągnęła naraz serwetkę i wskazała jako najulubieńszy przedmiot jej badań — “paj”.

— Paj! paj! wołali chłopcy, a to będzie używanie. Stefa tyś jest znakomita, tyś wielka.

— Kucharka — wiem — wiem nie kończcie.

— No tak, ale widzisz jaką nam to robi przyjemność.

— Aleś wymyślał mi dziś, że nic o świecie nie wiem. A przecież jakbym myślała latała za indyanami i bohaterami, to bym w domu nic nie umiała zrobić.

— No, nie gniewaj się siostrzyczko, ty jesteś dzielna gospodyni i bardzo cię za to kocham.

Mańka podczas tych przemówek rozkroiła paj na cztery części i na małych płaskich talerzykach podała każdemu. — Za chwilę nawet okrucichów z paja nie było. — W miejsce kawy napili się mleka i wielce zadowoleni wstali od stołu. — Chłopcy wyszli zajrzeć do zajęcia, a dziewczęta tymczasem sprzątały. Naczynia zostawiły, bo Mańka stanowczo oświadczyła, że wieczorem sama pomyje, a teraz, pragnęła by się we czworo zabawili.

Gdy wyszły do sadu, zastały chłopców strojących w zieleń chuśtawkę. — Chłopcy mówili żartując, że przygotowują balon do wzniesienia się w górę i pytali, ażali dziewczęta chcą im towarzyszyć.

Nie czekając powtórnego zaproszenia wskoczyły wesołe do chuśtawki.

Dziewczęta były trochę znużone pracą, chłopcy zaś, upojeni świeżem powietrzem. Niedługo też trwało chuśtanie, bo niebawem, cała czwórka zasnęła.

I oto, pod wrażeniem rzuconej przez chłopców myśli — balonu, szybowali we śnie pod niebotyczne obłoki i sięgali tajemnic nieba. Ale naraz ciemna chmura ich okryła. W śmiertelnej trwodze oczekiwali śmierci, bo nie widzieli gdzie ster pokierować. Czuli, że opuszczają się na dół i już dochodziły ich jakieś wrzaski i hałas. — Balon spuścił się szczęśliwie, wyskoczyli na ziemię i wszyscy ra-

zem pobiegli w stronę wznmagającego się hałasu. Dochodził on z zagrody, w której był zając.

O — zgrozo!

Zając leżał nie żywy, a psisko, które właśnie wróciło z gospodarzami, dostawało cięgi za morderczy napad.

Łzy stały w oczach przyjacielskiej czwórki, ale rodzice uspokoili ich, mówiąc, że nie ma na świecie przyjemności bez zawodów i bólu; poddali się więc pokornie przeznaczeniu.

Zjedli potem wszyscy razem smaczny podwieczorek przyrządzony przez Mamę Mańki, poczem Stefa i Zygmus odprowadzeni przez wszystkich do tramwaju — pojechali, aby o oznaczonej szóstej godzinie być w domu.



## PODOBIZNA BABCI.

Na dziedzińcu jednej z publicznych szkół w Milwaukee, gromadka chłopców bawiła się w żołnierzy. Najstarszy z nich Stefan, który miał nad nimi dowództwo, zatrzymał na chwilę pochód swej armii i właśnie im opowiadał o bitwach z bolszewikami, i jak to bracia nasi w Polsce, trzepią im skórę.

— Może i na nas przyjdzie kolej — mówił rozplómienny chłopczyzna, że pojedziemy kiedy walczyć za ziemię naszych ojców.

Na to jedna z dziewcząt, — przypatrująca się z boku zabawie — tak się odezwała:

— Nie pojmuję, jak można kochać kraj, którego się nigdy nie widziało.

Na to, Stefan przybliżył się do dziewczynki i raptownym ruchem zerwał z jej szyi medalion razem z cieniutkim złotym łańcuszkiem i rzucił go między chłopców.

Dziewczynka rozplakała się, a szlochając powtarzała:

— Co on zrobił. Zepsuł mi medalion z podobizną mojej babci ze starego kraju.

— A widzisz! — zawołał Stefan tryumfująco — jak cię to serce boli za babcią a przecież mówiłaś nam kiedyś, żeś jej nigdy nie widziała.

Dziewczyna zrozumiała przymówkę, to też broniąc wyrzeczonych słów poprzednio — tłómaczyła:

— No tak, ale oprócz babci żal mi łańcuszka, — ten także coś wart.

— Dobraś sobie! — odparł znający Dzieje Narodu Polskiego — Stefan — a oprócz polskiej ziemi, która jest naszą babcią, czy nie mamy także różnych pamiątek, które nam również są drogie i mile?

Dziewczynka zawstydzona spuściła głowę, a Stefan oddając jej medalion, rzekł:



A widzisz zawołał Stefan — jak cię to serce boli za babcią.



— Ot, lepiejbys ze swojemi towarzyszkami szykowała się na Szarą Samarytanę, bo takich dobroczynnych pomocnic, Polska wiele potrzebuje.

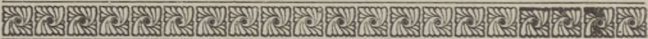
Dziewczętom spodobala się rada, otoczyły Ludwisę, która zrozumiała już teraz, co dziewczę zrodzone na amerykańskiej ziemi czuć powinno względem ojczyzny swych ojców, i wspólnie z niemi zaczęła oczyszczać róg dziedzina, gdzie naprędce z chusteczek zbudowały namiot niby to przytułek dla bezdomnych polskich sierot.

Wtem, z pod parkanu, wysunął się szczupły chłopczyna, który dotąd nie mieszał się do zabawy, i dźwięcznym głosem tak się odezwał:

— Ja tam nie lubię brać udziału w krwawych bitwach, bo wiecie, że misyonarzem chcę zostać. Gdy dorosnę, pójdę do spustoszonych przez bolszewików krain, i jak święci Cyryl i Metody będę głosić Słowo Boże. A może też już więcej rozlewu krwi nie będzie, odśpiewajmy jako modlitwę Boże coś Polskę.

Staęła młoda wiara w kółko, podniosła głowy i z piersi dziecięcych popłynęło do nieba:

Boże coś Polskę przez tak długie wieki  
Otaczał blaskiem potęgi i sławy  
Coś ją otaczał tarczą swej opieki  
Od nieszczęść które przygnębić ją miały.  
Prezd Twe oblicze zanosim błaganie  
Dobrobyt Polsce racz przywrócić Panie.



## GWIAZDKA MARYNKI.

---

W zaułku dwóch biednych ulic, po południu w wigilię Bożego Narodzenia, stała mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka oglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Twarzyczka jej była zbiedzona, a sukienka wypłowiała i tu i ówdzie rozdarta.

Niespokojny jej wzrok, padł na kawałek chleba leżący obok jednego z pudeł, które służyły do składania odpadków.

Skoczyła czempredzej po upragnioną zdobycz, a następnie oparłszy się o płot — śledziła dalej wszystkie kąciki.

— Gwiazdka idzie — myślało dziecko — więc oczyścili jej drogę. Nic nie zostawili — wszystko zabrali . . .

Przed oczyma biedactwa przemknął stary gwiazdor — niosący podarki dla grzecznych dzieci...

Marynka zaczęła sobie przypominać, ażali była grzeczną.

Ze wstydem przyznała przed sobą, że nie zawsze słuchała mamy i kiedy ta, idąc do pracy upominała ją, aby siedziała w domu, Marynka goniła za kotami, albo siadywała na płocie i patrzyła jak "angielskie" dzieci się bawią.



Marynka pomyślała o Gwiazdorze niosącym podarki.

Jakże nie miała patrzeć? Miały takie śliczne lalki!

Żeby "tatus" żył, z pewnością obroniłby ją za to przewinienie i powiedziałby tej pani z gwiaz-

dką, że Marynka zasłużyła sobie na lalkę. Ale tatuś umarł, a mamusia ciągle słabowała, chociaż chodziła do pracy, a od kilku dni leży w łóżku i nawet mało co mówi.

Marynka była dobrą, przynosiła mamie co mogła, ale teraz pieniędzy już nie mają, a i w zakupkach nic znaleźć nie może.

A tu Gwiazdka już blisko, a ona za karę pewno nic nie dostanie. . .

Na tę myśl ścisnęło się serduszko Marynki a w oczach zamigotały łezki.

Przypomniała sobie, jak zeszłego roku w starym kraju poszła z mamą do kościoła — pokłonić się Dzieciątku Jezus.

— Ach! jakie śliczności widziała! . . .

Jezusek maleńki leżał na sianku, a w około niego klęczeli ludzie i zwierzęta. . . Pamięta jeszcze dziś wszystko i widzi gdyby żywe. . .

— A ta gwiazda świecąca nad Dzieciątkiem! jak ta ją nęciła! . . . Patrzała i patrzała się w nią. . . Aż mama schyliła się doniej i powiedziała: — Zmów paciorek Marynka do świętego Dzieciątka, może ta gwiazda Jego zaprowadzi nas do ojca za morze. . .

Marynka bardzo szczerze zmówiła “Ojczy nasz” i “Zdrowaś Marya” i widać mały Jezus wysłuchał jej prośbę, bo w kilka tygodni później przyszły pieniądze od ojca z Ameryki na drogę.

Ale jeno kilka miesięcy byli razem, bo ojca potłukła maszyna w fabryce — i umarł.

Tak sobie przypominając przeszłość, Marynka zanosła się płaczem.

Modliła się ona wprawdzie i tu w Ameryce. Modliła się za tatusia w niebie i za chorą matkę na ziemi, ale gdy bieda coraz większa ich nawiedzała, Marynka zaczęła coś powątpiewać, a po głębokiem namyśle przyszła do przekonania, że tutaj pewno trzeba się modlić po angielsku, — polski pacierz może do Jezusa nie dochodzi, a ona jeszcze po angielsku nie umiała.

Potem bunt jakiś poczuła w duszy, bo przypomniała sobie jak sąsiadów dzieci tam w starym kraju w Swarzędzu — przychodziły do domu ze szkoły posiniaczone za to, że modliły się po polsku.

— Czemu to po polsku modlić się nie można? zafrasowało się dziecko. A po niejakijs chwili namysłu powiedziało półgłosem:

— Pewno inne narody nie chcą wpuścić polski naród do nieba! . . .

Ale ona będzie się cisnąć do Dzieciątka Jezus, choćby za to różgą dostała! i wielkim głosem — nawet przez łyzy — będzie wołać do Niego po polsku!

Tak sobie rozumując o ludziach i niebie, Marynka — to przygryzała znaleziony chleb, to zanosła się płaczem, to mówiła głośno “Ojcze nasz”.

Wtem uszu jej doszło:

— Miau-a-u! Mia-a-u! Mia-a-u!

Nędzna kocina, skóra tylko i kości szukając też widocznie za żerem, nie znalazłszy nic, objawiła w powyższy sposób swoje niezadowolenie.

Marynka, na mia-a-u — jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała się przemieniła. .

Z nieba znalazła się prędko na ziemi i kochająco poządliwem okiem — obejmowała kota.

— Takie śliczności! — myślała, — taką samą ma żółtą łatkę na uszku i na tylnej nóżce, jak ich własny “Gapus” w Swarzędzu — i taki też bury.

Śliczności ledwie się na nogach trzymały i wzbudzały godny litości widok, ale Marynka tego nie widziała. Dla niej, było to wspomnienie “Gapusia” a tem samem drogocenny przyjaciel, z którym mogłaby się przecie choć chwilę zabawić.

Podeszła wolniutko do kota, aby go nie spłoszyć i:

— Kotyś! Gapus! — ci — ci — ci — zawołała.

Kot w odpowiedzi poruszył przyjaźnie ogonem.

Rozumiała to Marynka i ośmielona tem, pogłaskała kota po grzbiecie.

— Mr-r-u-u! mr-u-u! kot odpowiadał, podnosząc w górę ogonek.

— Śliczności ty moje — mówiło dziewczę — ja wiem, tyś głodny! — i ostatni kęs chleba podzieliła z kocią nędzą.

A potem? ach! czyż mogła sobie odmówić?...

Wszak wszystkie dzieci będą miały coś od gwiazdki — a ona nic... Więc ona weźmie sobie tego kota... A może to gwiazdka go jej dała?..

Ucieszona z pomysłu, przytuliła kota do siebie i poszła do domu.

Matkę zastała z zamkniętymi oczyma, więc aby jej nie budzić, położyła coś z odzieży na podłogę i trzymając kocią nędzę w objęciach, słodko zasnęła...

Rozgrzana kocie ciepłem, śniła: że w izbie u nich jest ogień, że wieczór już nadszedł, że gwiazdor z nieba przyszedł, przyniósł dla niej śliczną lalkę, a Gapusiowi czerwoną wstążeczkę na szyję.

I było tak dobrze!... Mamusia się uśmiechała, ona piastowała lalkę, a Gapuś chlipał mleko...

Rozbudziło się dziewczę z uroczego snu, przeciera raz drugi i trzeci oczęta, i... jeszcze sobie nie wierzy...

Prezśliczna lalka nayrawdę leży obok niej, Gapuś rzeczywiście chlipie z podstawki mleko, a mama weselsza uśmiecha się do niej z łózka.

— Mamo? czy gwiazdor lub biała pani z gwiazdką już była? — pyta zdumione dziewczę — i czy to ona tak wszystko u nas zmieniła? . . . . .

— Jestem tu jeszcze — odpowiada za mamę jakaś pani, której przedtem Marynka nie zauważyła.



Marynka w objęciu dobrej nieznaney pani.

— Bądź dobrą, moje dziecko,—jutro, ubierz się w co masz najlepszego, przyjdę po ciebie i zaprowadzę cię do kościoła — do Dzieciątka Jezus.

— A czy Jezus tu w Ameryce zrozumie po polsku? — zapytało trwożliwie dziewczę.

— I w Ameryce i na całym świecie Jezus inaczey Polaków nie zrozumie tylko po polsku! — odpowiedziała obca pani.



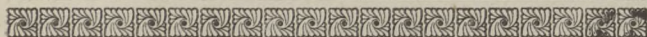
Po tych słowach wyszła. A Marynka dowiedziała się od mamy, że sąsiedzi dali znać takim dobroczynnym paniom o ich biedzie, więc jedna przyszła ich poratować.

Marynce na to przemknęło prędko przez głowę, że to może Jezus tak dał za to, że przyrzekła — tam pod płótem — zawsze — choćby nawet różgą dostała — modlić się po polsku!





Dobre dzieci podczas wakacyi tak wypeł-  
niają swój czas.



## OPOWIADANIE BAŚNIARKI.

### I.

Zjawienie się Baśniarki w Milwaukee. — Dzieci pragną jej baśni. — Baśniarka wiezie dzieci w czarodziejski ogród cnót. — Lipa ukazuje się dzieciom jako symbol dawnej Polski. — Baśniarka i dzieci przyrzekają sobie nawzajem spotykać się co tydzień.

Mańka, Zosia, Andzia, Stefan, Kazio, Władek, chodźcie dzieci, chodźcie wszyscy, chodźcie gdzie tylko jesteście, chodźcie do naszego ogródeczka. Tyle w nim kwiatów, tyle roślin, tyle krzewów, tyle słońca i cieniu — jest się gdzie bawić, jest w czym pracować — jest i gdzie spocząć na chwilę.

Słowa te, wypowiedziała głośno stara kobieta idąc powoli przez ulice miasta Milwaukee na południowej stronie. — Trzymała w ręku kij, nie ażeby nim wywijać, jeno w razie potrzeby — żeby po-deprzeć się nieco.

Miała na sobie ciemno-zieloną suknię z fałdzystą u dołu falbaną i długi szary, w pasy szal, którego frendzle sięgały niemal falbany. Na głowie bielił się czepiec, a suta przy nim koronka spadała

aż do oczów. Siwe kosmyki włosów wydobywały się tu i owdzie przez przezroczystą ozdobę czepca, czyniąc bladą twarz staruszki podobną do gwiazdy okolonej promieniami, jak to widzimy czasem na obrazku.

Na donośny, nawołujący głos starej, zbiegły się dzieci ze wszystkich stron, a ona, pomrukując coś do siebie — wiodła ich dalej.

Tu i owdzie z biegnącej za nią gromadki dały się słyszeć radosne uwagi:

— Chodźcie, będzie coś nowego!

— Gee, będzie nowy fun!

— Może ona jest ze show!

— Gdzie tam ze show, — przecie po polsku mówi.

— A czy to polscy nie mają show?

Stara na te uwagi uśmiechnęła się jeno wesoło, pokazując dwa wielkie zęby, ostatnie pamiątki po trzydziestu dwóch — niegdyś — istnych pełkach.

Dociągnęła w przestronniejsze miejsce, gdzie stało kilka drzew; popatrzyła przyjaźnie na ciągnące za nią dzieci i wyrzekła w zadowoleniu:

Jesteście wszyscy — to i dobrze. Niech nam się teraz zdaje, żeśmy weszli do wspaniałego ogrodu, że kamienie po których stąpamy — to trawa zielona. Chodźcie, usiądziemy tam pod tą lipą i, popatrzymy dokoła na te wdzięczne niby kwiate-

czki, które ukazują nam się na zieleni jak cnoty na ludzkim życiu. A możebyśmy dali każdemu z kwiatów miano poszczególnych cnót, — co wy na to?

— Hura! — krzyknęło żywo kilka głosów, bawmy się w ogród, — to będzie coś nowego — dalej pod lipę.

Stała młoda wiara pod lipą na szczęście prawdziwą, nie wyobrażoną i okoliła staruszkę gdyby wieńcem gdy najśmielszy ze wszystkich Stasiak — trochę drżącym głosem zapytał:

— A wy stara co za jedni i skąd wy?

Stara oparła się całą mocą na kij, wpatrzyła się w chłopca z litością i niemal tkliwie odpowiedziała:

— Nie dziś twoje myśli pojną moje pochodzenie, i nie dziś twoje oczęta dojrzą świat z którego ja idę. — Com ja za jedna? — Baśniarką się zwie. Zkąd idę? Z całego świata; i z całego świata niosę w sobie baśń. . .

Dziewczynki jakby chciały wynagrodzić starszce raptowne wyrwanie się Stacha — zbliżyły się do niej życzliwie, a kilka zaczęło nawet poufale skubać frendzle u jej szala.

Śmiały Stasiak nie dał się jednak zbić z tropu, zadarł głowę do góry i znów chciał coś rzec, ale inni go przekrzyczeli wołając:

— Never mind Stachu, let her talk, she is a story teller — don't you know? . . .

A zwróciwszy się do staruszki przymilali się mówiąc:

— Skoro jesteście baśniarką, to zostańcie nią w naszym ogródku i snujcie nam w nim długą — piękną baśń, — długą, szeroką, jak ten świat wielki, który was do nas przysłał.

— Dobrze dziecieczki, dam wam baśń jakiej żądacie, a wy, czy mi dacie serduszka i duszyczki wasze abym je osnuć mogła na całe życie? — Przez światy idę i zbieram światów bóle i uciechy moc, i tą mocą przez słowo czynię z pustego miejsca ogrody, z kamieni kwiaty, z dziecięcych główek myślących ludzi... Chcecie wy taki ogród mieć? Chcecież wy cnót kwiaty siać? Chcecież wy ludźmi być? Chcecież wy mi posłuch dać?

— Będziemy cię słuchać baśniarko będziemy, i z liści tej lipy wieniec ci zwijemy — tylko już nam baśnie snuj.

— Wieniec z lipy — mówicie? . . . Jak się to dziwnie składa? . . . Wicież wy działki moje czem lipa dla mnie jest, i czemu nam Polakom jest tak bardzo miłą? . . .

Może dla tego, że podobno lipowego drzewa rośnie bardzo wiele w Polsce, tak nam nauczyciel opowiadał w klasie — ozwał się na to Stefan.

— Nanuczyciel prawdę mówił, — odparła baśniarka. Lipowego drzewa jest dużo w Polsce, a niegdyś było jeszcze więcej. Za dawnych czasów lipy stanowiły ozdoby każdego szlacheckiego domu. To też lipy są bardzo często wspominane przez różnych pisarzy i poetów. — Poeta Malczewski w najpiękniejszym swoim poemacie “Marya” tak jeden rozdział zaczyna:

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary

I dźwigał w zwiedłej głowie utrapień ciężary.

Niemal wszyscy starsi pisarze opisują lipę jako drzewo, które wnosi do duszy marzenia. Więć też w swoim czasie marząca Polska, albo innemi słowy gdy to była w pierwszym rozkwicie chętnie się w to marzące drzewo stroiła. Pożytek też przy tem był wielki: Dawniej utrzymywano w Polsce pasieki, to znaczy trudniono się pszczelnictwem. Ze wszystkich kwiatów, pszczoły najbardziej lubią kwiat lipy, więc też miód lipowy, jako że w tym miesiącu kwitną lipy — jest najsmaczniejszy, zaś dla dostawców najzyskowniejszy.

Ile razy spojrzę gdzie na cichą słodką poważną lipę, to odtwarzam sobie w duszy dawną Polskę, jej młodość, marzenia, gorące porywy, zda mi się, że słyszę wśród tego brzęczenie skrzętnych pszczołek... lipowy okres dziejowy... Odczuwam dziejowe lato naszego narodu... czuję wówczas w sobie gorącość krwi polskiej...

Lipo! pamiątko ty — Polski młodości;  
Świadku porywów Jej cnót i Jej sławy; ;  
Ciebie wygnanka jak drogi skarb pieści,  
Patrzy w Twe piękno — choć obraz już mgławcy.

Staruszka upuściła kij, uchwyciła się lipy i zapatrzona przed się — mówiła dalej wolno odnosząc słowa niby do Polski, niby do lipy:

Wsluchujcież się dziateczki w jej słodki szept, wciągajcie słodycz jej słowa jak pszczołki sok kwiatu, a staniecie się i pożytkiem i pożądaniem innych narodów, a kto wie, może kiedyś inna baśniarka, snując baśń innym dzieciom — może... pod drzewem dębu, będzie was tułacze dzieci, porównywać z mocą dęba, jak ja dawną Polskę z wonną miododajną lipą.

A teraz zostańcie z Bogiem, bo mi pilno w drogę. Za tydzień spotkamy się tu znowu. Przyniosę z sobą inną baśń, a tymczasem przez ten tydzień, rozważajcie tę, którą wam dziś dałam.

## II.

Spór między dziećmi. — Basia nie czuje się być Polką. — Stach i Magdzia znajdują w sobie polskiego ducha. — Barwa hortenzji. — Przykład kwiatów dla ludzi. — Basia okrzyknęła lipą.

— Czy wam się podobało to — co baśniarka w zeszły tydzień opowiadała? — zagadnęła tłusta Zuzia — nadbiegając trochę leniwie — do oczekującej już pod lipą gromadki.



— Nie bardzo! — odpowiedziała głośno, jakby za wszystkich — najkrzykliwsza Basia. Ciągłeno wszyscy gadają o Polsce, — mnie się naprzykrzyło zawsze to samo słuchać. My tu w Ameryce, co nam po Polsce.

— O Baśka, wstydz się! — przerwał żywo Stasiak. Przecież ja też tu jestem urodzony a lubię słuchać o Polsce. Mnie się tej starej baśniarki opowiadanie podoba. Nie dowierzałem jej w początku, ale teraz już ją lubię, i radbym żeby już przyszła.



Dzieci oczekują baśniarki.

—A ona może wcale się nie pokaże — odcięła Basia, — nie wielka szkoda. Pewno jeno nas tak zmanila ta stara.

— Basiu, ty zawsze wszystko źle sądzisz, — wtrąciła blada, szczupła, Leonia.—Jeżeli nie przyjdzie, to nie dlatego, aby nas okłamała, ale mogło jej się przytrafić jakie niszczęście, a — może chora.

— Mnie się jej opowiadanie podobało — dodała rezolutnie puciołowata Magdzia, — ona tak jakoś dziwnie mówi, mnie tak było jakbym jej słowa już gdzieś słyszała, tak mi się zdało jakby to pieśń jakaś była. . .

A widzisz — zawołał radośnie Stasiek — to polskość się w tobie odzywa. Baśniarka budzi w tobie polskiego ducha. I mnie tak samo wydało się jej opowiadanie — jakby jakąś bardzo starą pieśnią. . .

— Well, ja jeszcze nic nie zaświadczę — ozwał się gotowy zawsze do rady Michaś. Usłyszymy co nam dziś powie, a potem zobaczymy czy warto się nią zajmować i tu przychodzić.

— C—s—s! idzie stara! — ozwało się razem kilka głosów.

Baśniarka pochwaliła Pana Boga,, a jako, że była trochę zmęczona — przykucnęła przy ziemi. Dzieci posiadały wokół, a ona przez chwilę wodziła po nich przenikliwym wzrokiem.

— I bet you she know what we were talking about? — szepnął trwożliwie wiecznie bojący się Władek — Stefkowi na ucho.

W tejże samej chwili baśniarka się ozwała:

— Pewnościście myśleli, że was zawiodę i nie przyjdę wcale.

Dzieci utkwily w starą zdumione oczy, a Basia z obawy i wstydu przypuszczając, że wszystkie jej słowa są starej wiadome — spuściła głowę na dół.

— A czekając na mnie — ciągnęła baśniarka dalej — nie szcędziliście mi wyrzutów. Wygadywaliście, że wy i tak nie dbacie o to co wam powiem, bo moje baśnie wcale wam się nie podobają.

— To jeno Basia mówiła, że ją te głupstwa o Polsce nudzą — krzyknęli wszyscy.

Zaczerwioniona Baśka nie wiedziała co ze sobą zrobić.

Baśniarka skiwnęła ją dobrotliwie ku sobie, a mówiąc: niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, posadziła ją obok, a zapatrzywszy się znowu w dal tym swoim zamglonym wzrokiem tak zaczęła:

Jest w ogrodzie różne kwiecie.

Są też różni ludzie w świecie.

Jedne zioła kwitną jednym stałym kolorem, a inne mieszanym, a są jeszcze takie co kolor zmieniają. Znacie pewno hortenzje: najpierw, kwiat

ten jest biały, potem różowy, a następnie zamienia się na lawendowy. Więc też jedni twierdzą, że hortenzja kwitnie biało, a inni, że różowo, a inni dowodzą uparcie, że lawendowo. A wszystko to widzicie tak Pan Bóg urządził, aby ludzie w tych drobnych roślinach widzieli przykład dla siebie, aby w nich dostrzegli swoje zalety i wady. Człowiek, który się trzyma swojej narodowości jest podobien temu kwiatu, który swego koloru nigdy nie zmienia, zaś taki naprzykład co urodzony z ojca i matki Polaków, a udaje wobec obcych Niemca albo Amerykanina, taki podobny jest do owej hortenzji, o której zmiennym niepewnym kolorze każdy inaczej sądzi. Taki człowiek, co zmienia swoją narodowość, zamiast stać się jedną siłą swego narodu, stanie się tylko przedmiotem rozterki i sprzeczki, a czasem i śmiechu dla obcych, bo nikt nie wie kim on właściwie jest. — Basia pewno się nigdy nad tem nie zastanawiała i nie zastanawiała się też, czy chce być Polką i słuchać tego co się Polski tyczy i — powiedziała te kilka słów na wiatr, a wy zuchy zaraz żeście ją oskarżyli. Obaczycie, że ona tę uwagę weźmie do serca i jeszcze z czasem wyrośnie na polską lipę.

— Baśka lipa! — Baśka lipa! — zaczęły wrzeszczeć wesoło dzieci, nie dopuszczając już baśniarki do słowa.

— Stach dąb! Władek osina! Mańka Kalina!



Księżniczka w swoim małym gospodarstwie.

Zocha rezedą! Zuzia słonecznik! Hura! my kwiaty polskie — dla Polski!

Wykrzyknikom nie było końca. — Baśniarka niepostrzeżenie opuściła wesołą gromadę, uśmiechając się też radośnie.

### III.

Dzieci darzą się nazwami drzew i kwiatów. — Zapomniany kwiat w szczególnej łasce Bożej. — Gdzie kwitły najpierw kwiaty. — Zły duch zazdrości piękności Bożemu kwiciu. — Strąca słaby kwiat w roztopy. — Za stałość w swej wierze, strącony kwiat okrywa się kolorem nieba.

Hello dąb! Hello lipa! Hello jarmuz! Hello pińderynda! — tak się prześladować witały się dzieci na następnej schadzce.

— My! but that baśniarka is good!

— I told you so.

— I wish she would come.

— There she is! . . .

Stara szła powoli, grożąc dobrotliwie dzieciom za nadmierne hałasy.

Rzuciły się ku niej jak dobre znajome, objaśniając o swoich nazwach. Aż się stara łagodnie kijem opędnąć musiała, tak się ku niej cisnęły.

— Słyszę! — słyszę! zabrałyście nazwy niemal wszystkich kwiatów, a jednak zapomniłyście o jednym. . . a jest to piękny kwiatusek obdarzony szczególną bożą łaską. Opowiem wam historię tego kwiatka.

Na te słowa, dzieci w mgnieniu oka stanęły i słuchały w skupieniu jakiego to kwiatka bożą łaską obdarzonego, one zapomnieć mogły.

Baśniarka już tymczasem tonęła w przestworzu swemi mglistemi oczyma i tak mówiła:

W pierwszych dniach po stworzeniu ziemi, na najwyższych wzgórzach, zakwitły prześliczne kwiaty. Ale zły duch pozazdrościł piękności bożego kwiecia i zesłał wielki tuman złych duchów, które w postaci wiatru, zniszczyły boże piękno. A nasienie roznieśli po dolinach, po lasach, po równinach, a nawet po moczarach. Sądził zły duch, by uczynić tem krzywdę Bogu, ale największa krzywda stała się kwiatom, bo, przeniesiony siew na inną ziemię, zatracił swą pierwotną siłę i piękność. Jedne zmieniły kształt rośliny, inne barwę, inne kwiat, a były też takie, które wcale już nie zakwitły. Do tych ostatnich należała wątła niska roślinka, która opierała się silnie mocy złego ducha, czepiając się gdzie się tylko dało, a pilnie się w niebo patrzyła — ażali pomoc nie przyjdzie. Gdy zły duch ujrzał jej wierność do nieba, zrzucił ją na roztopy, aby tam zginęła. — Chłód wody orzeźwił niebogę, więc ostatkiem mocy podniosła listki ku niebu jakby chciała wyrazić:

— Boże, je żyję i wierzę, że nie zapomnisz dać mi kwiat właściwy.

I oto naraz padło słońce na roztopy, a bied-

na łądyga, która już zapomniała pierwotne swe kwiecie, za stałą wiarę, okryła się cała gwiazdkami w kolorze nieba.

. . — Jakie jej imię? Znaie ją przecie, tę wątłą roślinkę, w której odbiła się cnota wiary.

Dzieci zamyśliły się głęboko co to za kwiatek jest, który rośnie na roztopach o kolorze nieba, a kształt ma gwiazdki. A baśniarka powstała i mówiąc: “Powiecie mi jej nazwę dziecieczki na przyszły raz, gdy się spotkamy”, powlokła się, podpie-  
rając kijem, niewiedomo dokąd.

#### IV.

Smutna księżniczka. — O czem księżniczka śniła. — Zabłąkana. — Powitanie księżniczki przez kwiaty.

Gdy baśniarka ukazała się następnym razem, — miejsce gdzie się dzieci zbierały — miało trochę inny wygląd. — Chłopcy zbudowali coś w rodzaju ławeczki i gdy stara zbliżyła się, usadzili ją na niej mówiąc — tak wam babciu będzie wygodniej.

Babcia usiadła i powiedła swoim mglistym okiem po gromadce, ale widząc, że żadne z dzieci nie śpieszy z nazwą zapomnianego na roztopach kwiatka, podparła głowę na dłoni, zamyśliła się na chwilę a dzieci widząc w niej skupienie, przywarli bliżej i z niepokojem prawie, czekali słów starej.



A ona rękę opuściła na kolana a oczy trzymając utkwione gdzieś w dal tak zaczęła:

Dawno to już temu, bardzo dawno, w bogatym zamku, żyła śliczna mała księżniczka. Na niczem jej nie zbywało, wszystko na swoje rozkazy miała, ale jednak to książęce dziewczątko smutne było... a smutku jej żadne rozkosze rozerwać nie mogły. Jej smutek — dzieteczki — po chodził ze snu.

Śniła ona pewnej nocy o jakichś kwiatach, których nigdzie nie spotkała. Ogrodnicy książęcego ogrodu, dla zaspokojenia jej tęsknoty, hodowali przeróżne kwiaty; księżniczka lubowała się w nich, ale ciągle zamyślała się o tych śnionych...

Raz, w głębokim zamyśleniu, wyszła po za mury zamkowe i zanim zdołała się spostrzedz — zmyliła drogę do zamku. Błąkała długi czas, a tu i zmrok wieczorny zapadał a ona nie wiedziała gdzie się znajduje, ani też gdzie złożyć strudzone bieganiem ciało na wypoczynek.

Zapłakała cicho, spojrzała ku gwiazdkom migocącym już na obłokach i przy ich blasku pod osłoną nieba, ułożyła się na trzcinie rosnącej nad brzegiem jakiegoś potoku.

Usnęła...

I oto śniła, że kwiatki jej lube za któremi tak tęskniła, otoczyły ją w około i mówiły:

— Witaj — nam witaj! w naszym królestwie,

a za to żeś nas tak ukochała, opowiemy Ci naszą historię i tu opowiedziały księżniczce to, com wam przeszły raz opowiedziała... jak to zły duch rzucił je w roztopy...

Tu stara przerwała, zakaszłała mocno bo jakiś chłód nadciągał, kiwnęła dzieciom przyjaźnie głową i jakaś smutna odeszła.

— I wish she would finish that story — odezwał się milczący Józef.

— Never mind, she will come again, bądź cierpliwy.

## V.

Księżniczka w królestwie śnionych kwiatów. — Sen staje się rzeczywistością. — Pasiecznik. — Powrót do zamku. — Kwiatek z roztopów.

Stara przyszła na następny tydzień, ale pomarszczona jej twarz, zdawała się być jakby z wosku, była bledszą jak zwykle.

Jakimś litośnym wzrokiem powiedła po dzieciach i jakby pilno jej było, zaraz zaczęła dalszą opowieść o księżniczce:

Już różowa jutrzienka zabarwiła niebo już i świt się przez mroki przedzierał, a księżniczka jeszcze we śnie będąc, obracała się w królestwie swoich ślicznych kwiatków, które tak jej mówiły:

— Myśmy myślały, że jesteśmy zapomniane, i, że żaden człowiek na tych roztopach nas nie

znajdzie, a jednak ty księżniczko chociaż my tylko we śnie cię odwiedzały, ty o nas nie zapomniałaś. Tu kwiateczki ozdobiły ją całą swoim kwieciami, a ona — rzekła do nich radośnie:

— Nie, nie zapomniałam was — kwiatki wy moje! — śnione — kochane!

Z tym okrzykiem się zbudziła. Słońce też już wtedy było na niebie, podniosła się więc czemprej, a widząc w pobliżu potok, podeszła, aby choć na dłoń naczepnąć wody i trochę się nią posilić, a i buzię odświeżyć.

Ale zaledwie się zbliżyła i rozejrzała, krzyknęła gwałtownie:

— Kwiatki wy moje śnione — znalazłam was! Przyklęła, pochyliła się i rękami dotykała marzonego kwiecia chcąc się upewnić, że nie śni. .

Pełno tam ich było. . . tych — koloru nieba o kształcie gwiazdki.

Dotykała ich lekko rączkami, a potem to i całowała i zrywała i kładła je sobie we włosy, na ramiona, sukienkę. . .

Cała pokryta błękitem kwiatów, przeglądała się w przezroczu wody gdy w tem usłyszała za sobą głos:

— Dzień dobry panienko! — co tu robisz tak rano?

Złękła się księżniczka, ale gdy ujrzała starca

z siwą długą brodą, odpowiedziała uprzejmie, że się zabląkała.



Kwiatki wy moje śnione znalazłam was.

Staruszek ten, mieszkał samotnie opodal i pilnował pasieki, znał on każdą ścieżynę, to też natchmiast skróconą drogą zaprowadził księżniczkę do zamku.

Co było radości w zamku, gdzie wielkie poszukiwania za księżniczką czyniono, to każdy może sobie wyobrazić.

Odtąd też zniknął smutek księżniczki, bo w jej ogrodzie pełno było błękitnych kwiatków, które stale nazywała “niezapominajkami”.

Tak więc osamotniony kwiat na roztopach, nie został zapomniany, ale wprowadzony w ogrody, gdzie obok róż i innych kwiatów upiększa klomby jako niezapominajka.

Gdy dorosła, wystawiła w miejscu gdzie znalazła marzone kwiatki — przytułek dla sierot i pokrzywdzonych.

A gdy umarła, cały grobowiec pokryto niezapominajkami które chodowano przez długie lata. — Z czasem, zły duch, który nigdy nie śpi — zniszczył pamiątki po dobrej księżniczce, jedynie pamięć po niej została.

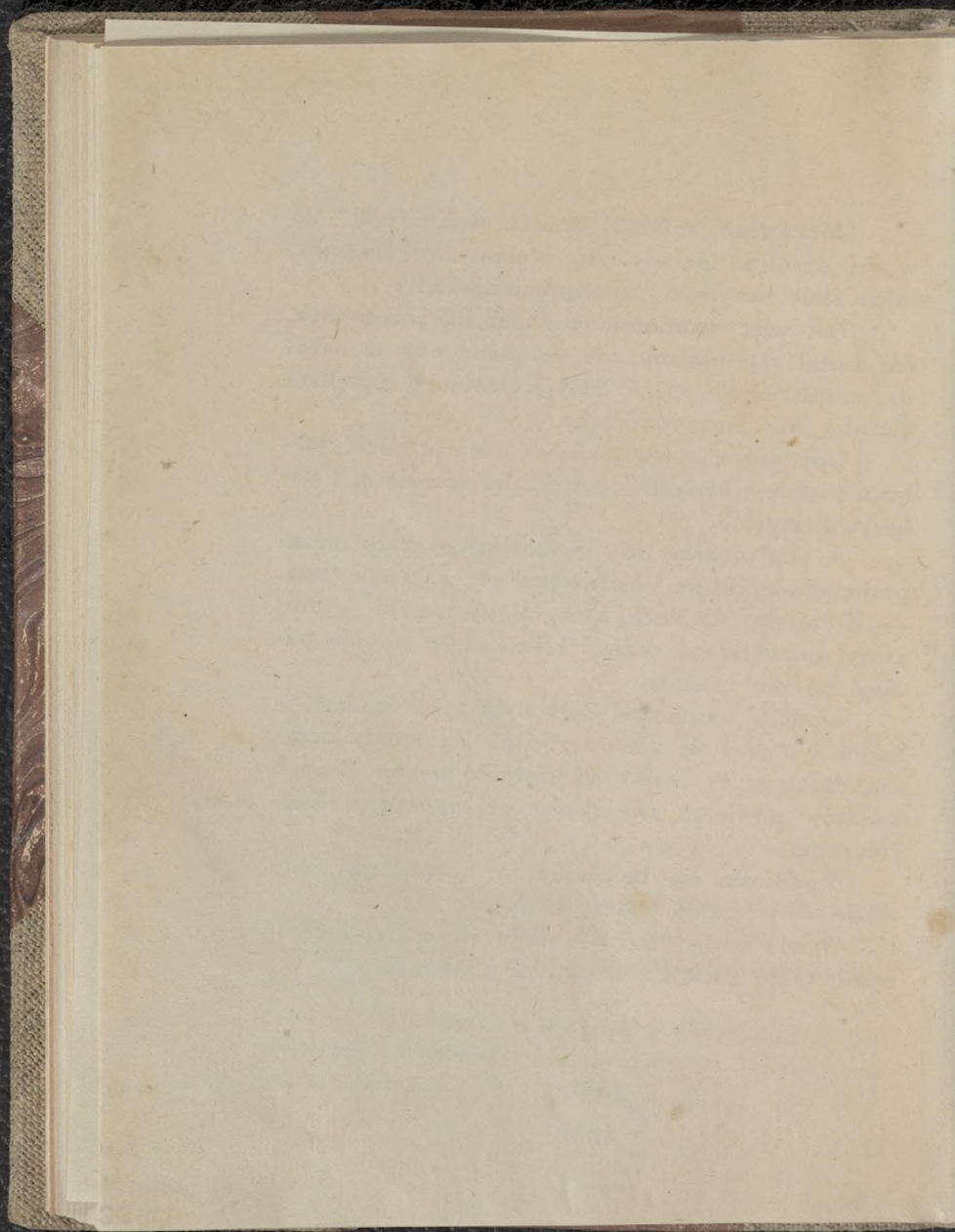
Umilkła baśniarka; cisza była w gromadzie, — żadne z dzieci się nie odezwało. Zaglądały oczyma duszy w te światy w których piękno Bożych kwiatów powierza swe tajemnice wybranym księżniczkom . . .

Podniosła się baśniarka, a opuszczając gromadę — wyrzekła jeszcze te słowa:

Wielu z was dzieci — wielu, może być wybranymi, tylko chcecie zrozumieć i wierzyć.

KONIEC.





Ant Ka  
Knakiu 4  
-6500

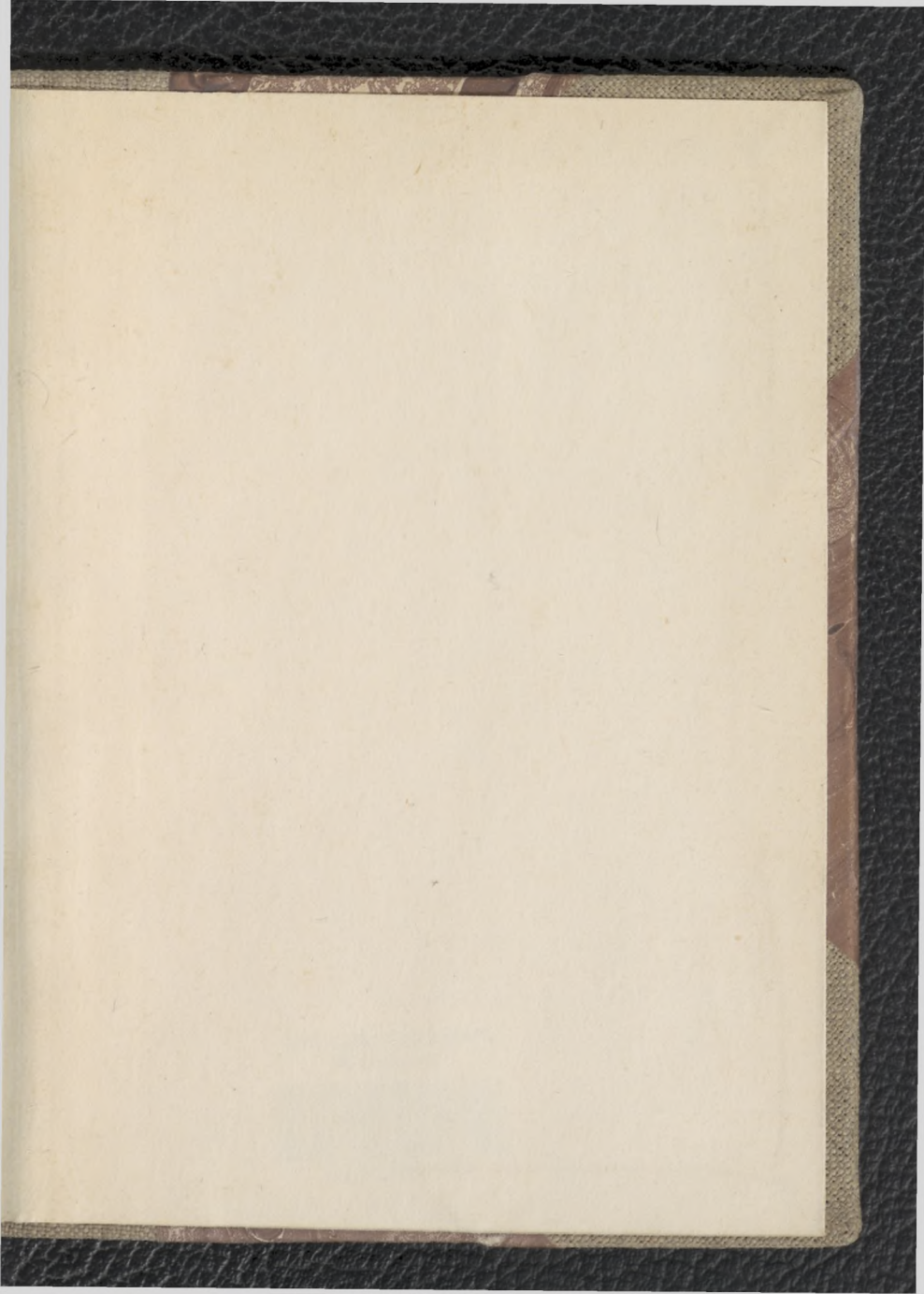
300-

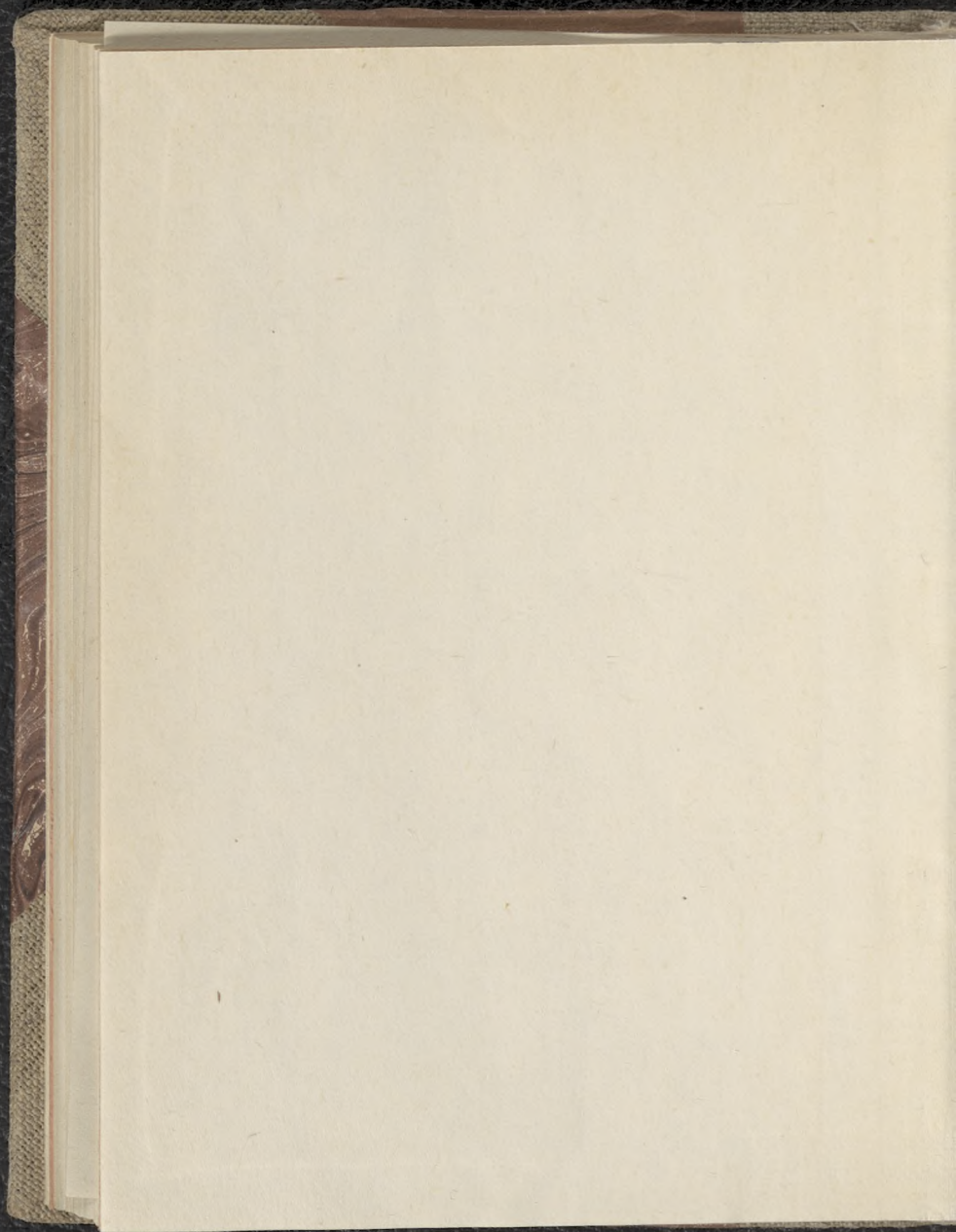
DRUKIEM  
KURYERA POLSKIEGO  
MILWAUKEE, WIS



76.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020815002



1465115

---

---